ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 17 września 1911 r.
Nr. 38.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

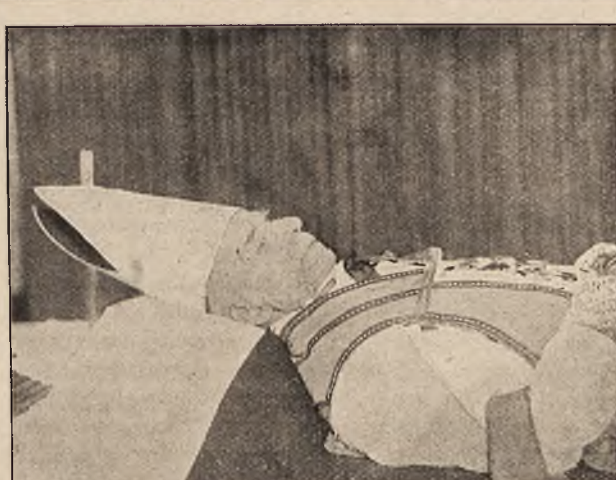
Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

†

Kardynał Jan Puzyna

Książe - biskup krakowski.

Dnia 8 września, w święto Narodzenia Najśw. Maryi Panny, umarł w Krakowie Jan kniaź z Kozielska Puzyna, książę biskup krakowski, Kardynał-kapłan św. Kościoła rzymskiego. Osierocenie dyecezyi krakowskiej przez Arcypasterza oddawna było przewidywane, albowiem ś. p. ks. kardynał od szeregu miesięcy złożony był ciężką niemocą. W sławnym poczcie biskupów krakowskich świeżo zmarły kardynał zajmie wybitne miejsce i imię jego trwale zapisze w swych dziejach dyecezya krakowska. Ś. p. ks. Puzyna bowiem wielkie położył zasługi dla Krakowa, katedry wawelskiej i dla podniesienia życia religijnego w dyecezyi. Z jego nazwiskiem łączyć się będzie po wieczne czasy odnowienie kościoła katedralnego na Wawelu, tej pierwszej, przesławnej świątyni polskiej. Dzisiaj kościół katedralny na Wawelu odnowiony gruntownie, z odmalowanemi pięknie kaplicami, kilku nowymi pomnikami, dumą napełnia serce każdego Polaka. A ile w tem dziele spoczęło pracy, trosk, zabiegów, starań i ofiar ś. p. ks. kardynała Puzyny, o tem wiedzą tylko ci, którzy na te prace, zabiegi i ofiary patrzyli i co Arcypasterzowi dopomagali.



Ś. p. Kardynał Puzyna na łożu śmierci.
Według fotogr. Jabłońskiego i Ski.

Ale nietylko jako biskup krakowski na wdzięczną zasłużył sobie pamięć ś. p. ks. kardynał, lecz wielkie też położył zasługi dla Kościoła i narodu polskiego, gdy był jeszcze biskupem-sufraganem we Lwowie. Tam, w ruskiej części Galicyi, jak wiadomo, żyje też po wsiach wiele polskiego ludu rzymsko-katolickiego obrządku. Ci włościanie nasi w wielu okolicach z braku kościołów i kaplic rzymsko-katolickich, otoczeni ludem ruskim, przechodzili na ruski obrządek, a równocześnie ze zmianą obrządku ruszczyli się. Ks. biskup Puzyna widząc to, rozpoczął żywą działalność około stawiania rzymsko katolickich kościołów i kaplic we wschodniej Galicyi, i dziś wiele ludu polskiego pozostało przy swym ojczystym języku i wierze, dzięki jego wysiłkom i pracy, których owocem są liczne rzymsko-katolickie przybytki Boże, gdzie z ambony słyszy się słowo polskie, gdzie w ojczystym języku wyspowiadać się może.

Ks. kardynał Puzyna był potomkiem znakomitego starodawnego rodu. Ojciec był majorem wojsk napoleońskich, matka, z domu Dwernicka, córką jenerała z polskiego powstania w roku 1831. Urodził się w r. 1842 w Gwoździcu, w pow. kołomyjskim, na kapłana wyświęcony został w r. 1878, biskupem-sufraganem lwowskim został w r. 1886, w lat ośm potem t. j. w r. 1894 księciem biskupem krakowskim, zaś w r. 1901 Ojciec św. Leon XIII udzielił mu najwyższej w Kościele katolickim godności, mianując go kardynałem.

Śmierć ks. kardynała wywołała daleki oddźwięk; smutna wiadomość przedostała się poza granice dyecezyi, kraju i państwa. Na ręce kapituły katedralnej nadeszły setki depesz od Ojca św., cesarza, arcyksiążąt, biskupów i arcybiskupów polskich i obcych, ministrów, namiestnika i wielu dostojników. Uroczysty pochód pogrzebowy z pałacu biskupiego do katedry na Wawelu odbył się w poniedziałek popołudniu. Brali w nim udział liczni biskupi polscy z arcybiskupem lwowskim ks. Bilczewskim na czele, wiele wysokiego duchowieństwa, przedstawiciel cesarza hrabia Gudenus z Wiednia, minister oświaty, namiestnik, marszałek kraju, wielu dostojników, rzesze wiernych. Nazajutrz, we wtorek w katedrze na Wawelu zwłoki ks. kardynała złożono w podziemiach kościoła.

Rozbójnicze gniazdo.

Odsiecz. — Jabłonowski. — Wypadek Janasza. — Odwiedziny Jabłonowskiego. — Odwiedziny Jadzi. — Czarne mrowie. — Tatarzy. — Most płonie.

Nareszcie ta nieprzebyta noc zbliżała się ku końcowi, na wschodzie niebo cokolwiek się stało jaśniejszem. Ta chwila brzasku, zdaniem ludzi, miała być najniebezpieczniejszą, bo napady często nad ranem, gdy sen bywa najcięższy, zdarzać się zwykły. Wstał więc Janasz obchodzić straże i rozbudzać je, bo wielu pousypiało. Zmieniono ludzi i postawiono nowych. Nikita poszedł sam opatrzyć pale, czy słoma nie zamokła od deszczu. Wtem, gdy u mostu obaj stali, zatętniało w dali.

— Baczność! baczność! — rozległo się ciche nawoływanie. Janasz skoczył do bramy, aby z górnego piętra spojrzeć skąd tętent pochodził. Zdało się jednak, że nie tabun szedł, ale niewielka ilość koni, i to zwolna. Może jaka straż przednia.

Z bramy Janasz spostrzegł od zachodu z wąwozu wyjeżdżającą gromadę ludzi. Sporym kłusem zbliżali się do miasteczka, bez okrzyku i w porządku... Ludzie się już na dolnym zamku budzić zaczęli i nie wiedzieć skąd rozszedł się okrzyk: »Tatarzy!« ale Janasz zbiegłszy co rychlej, nakazał milczenie. Zdawało się Janaszowi, że nie było ich więcej nad kilkunastu; przypuszczał, że Dorszak się puścił na wzwiady.

Nikita na wszelki przypadek już był ognia naniecił, aby pale mostu podżegnąć, gdyby się nieprzyjaciel ukazał, gdy za mostem ukazała się gromada jadąca powoli. Tu ją już dobrze rozeznać było można. Przodem jechał w lekkiej zbroi młody i piękny mężczyzna, okryty burką podszytą szkarłatem, na koniu strojnym w rząd złocisty. Za nim kilkunastu ludzi w porządku postępowało na dzielnych wierzchowcach, jednako ubranych. Podjechawszy pod most i postrzegłszy straż, stanęli. Janasz naprzeciw wyszedł.

Przodem jadący zsiadł zaraz z konia i postąpił ku niemu.

— Czołem.

— Czołem.

— Dowiedziałem się od pułkownika Dulęby — ozwał się przybywający — że tu może być ludzi potrzeba pani miecznikowej Zboińskiej. Mnie tu król jegomość przy pułkach na pograniczu zostać polecił i swoich a cudzych majętności pilnować. Z obowiązku więc pospieszam z odsieczą. Jestem Jabłonowski, kasztelanic bracławski.

— Bardzośmy waszej miłości wdzięczni za pomoc w złym razie, bo nam tu Tatarowie grożą.

— Słyszałem o wszystkiem — odezwał się przybywający. — Tatarzy, rozzuchwaleni, a raczej rozjuszeni, być może, iż się pokuszą, ale nie damy się im! — śmiejąc się dodał kasztelanic i uderzył po szabli.

— Więc na zamek proszę — rzekł Janasz.

— Któż wy jesteście? — zapytał Jabłonowski.

— Jestem Janasz Korczak, sługa pana miecznika — rzekł z pokorą chłopak, kłaniając się — zastępuję tu dowódcę, gdy lepszego pod ten czas niema. Na zamku wygody mieć nie będziecie, ale uczynimy, co można, aby konie i ludzie głodni nie byli. Ponieważ na dolnym zamku siła ludu się schroniła, na górny, do nas, proszę.

Miał czas, zbliżywszy się, przypatrzyć kasztelanicowi Korczak. Była to tak piękna a pańska postać, tak szlachetne oblicze, razem męzkiej zawczasu powagi pełne i dobroci, że się w niem na pierwsze wejrzenie pokochać było można. Rycersko wyglądał Jabłonowski i imieniowi już dobrze zasłużonemu zaszczyt czynił postawą, która wodza w przyszłości dzielnego obiecywała. Na widok wchodzącego, lud w pierwszym dziedzińcu, poczuwszy jakąś w nim starszyznę, podniósł się z ziemi i pozdrowił go szmerem niewyraźnym. Widok ludzi i koni przybywających rodził otuchę.

W porządku przeszli podwórzec pierwszy i zawrócili do drugiego, gdzie ich straże wesołym powitały okrzykiem. Dzień się robił coraz jaśniejszy. Ksiądz Żudra tylko co był wstał, wyszedł na ganek i zdziwił się a uradował, widząc posiłki. Zaraz tedy obmyślano miejsce na konie przy murach, ludzi do izby na dole wproszono, a Janasz kasztelanica przepraszając za to, że go nie przyjmuje jakby należało w imieniu miecznika na górę z sobą prowadził.

Jabłonowski, choć pańsko patrzał, ale ludzkim był. Janasz mu się jako sługa przedstawił, ale to w owe czasy nie szkodziło znaczeniu człowieka, gdy szlachcic u szlachcica był na służbie, więc dla niego kasztelanic był grzeczny. Wszedłszy na górę do trochę nagiej izby i zrzucając z siebie płaszcz, kasztelanic zawołał wesoło:

— Ogadaliście swoje zamczysko: żołnierzowi tak wiele niepotrzeba. Na Boga! za kołnierz nie ciecze! okna prawie całe, a w kominie się resztka ognia świeci. To więcej niż człowiek śmiał zapragnąć.

— Chwalić Boga, żeście niewymagający; racczież się rozgościć — rzekł Janasz — a ja zbiegnę, żebym coś wyprosił, czembyście się rozgrzeli po nocnej słocie.

Korczak szedł na dół, gdy na połowie drogi miecznikową już ubraną spotkał. Spojrzał na nią, serce mu się ścisnęło, wspomniał wieczorne słowa Jadzi, pocałował matronę w rękę.

— Pan Bóg nam posiłek zesłał i pewnie silniejszy, niżeliśmy się spodziewać mogli. Zamiast ludzi z cudzoziemskiego autoramentu od pułkownika Dulęby, mamy kasztelanica Jabłonowskiego z jego konnicą, dzielnych kilkunastu żołnierzy.

— Idź do niego, ja wszystko przygotuję i przyszlę. Moglibyście zejść i na dół do nas, bośmy ubrane i już po modlitwie, a radabym poznać syna, bo ojca znam dobrze, i podziękować mu za chętną pomoc.

Zwrócił się więc Janasz na górę, aby Jabłonowskiemu oznajmić, że go prosiła miecznikowa. Chłopak właśnie był się trochę otrząsł i ociągnął, bo przebierać się pono nie miał w co, a że snadź o pięknej swej twarzy wiedział i pamiętał, w zwierciadełku Janasza muskał wąsika. Janasz też miał młodość i wdzięk rzadki, ale się mierzyć nie mógł z paniczem, którego młodość, choć rycerska, ale bez troski zbiegła wesoło. Teraz znój, rany, znękanie Korczaka czyniły niepokaźnym prawie chłopakiem.

Rozmawiając o ostatniej przygodzie, zeszli wkrótce na dół. W salce zastali już panią Zboińską i Jadzię skromnie bardzo ubrane. Jabłonowski spojrzał na piękną dzieweczkę tak zdumionemi oczyma, że i ona się zapłoniła i on potem zmieszał, witając. Ale prędko przyszedł do siebie, bo choć młody, wiele świata widział, podróże odbywał i niełatwo mu co mogło odebrać zaufanie w siebie.

Jabłonowski był tak dobrej otuchy, jakby już pobił Tatarów, i wcale się o nich nie zdawał troszczyć. Miecznikowa opowiadała mu, jakie jej pismo wczoraj podrzucono, i że wykupu dać nie chciała.

— Bardzo słusznie! — odparł młody kasztelanic — jeżeli zechcą popróbować swych zębów na murach, to je pewnie połamią; czekajmy, zobaczymy, czy się ważą.

Mówił a oczyma piękny chłopak ścigał Jadzię, i ile razy wejrzenie jego trochę natrętne spotkało się z jej oczyma, dziewczę rumieniło się.

Nadszedł ksiądz Żudra i rozmowa się wszczęła ogólniejsza. Janasz, nie śmiejąc się mieszać do niej, po cichu ku drzwiom kroczył. Skutkiem utraty krwi, znużenia nocnego, czy towarzyszących im wzruszeń, właśnie gdy miał wyjść, uczuł nagle szum w głowie, zaćmiło mu się w oczach, ręce wyciągnął, usiłując się za coś chwycić — i padł na podłogę omdlały.

Miecznikowa krzyknęła, Jadzia, łamiąc ręce, przypadła, zapomniawszy o wszystkiem, nadbiegł ksiądz Żudra, zawołano ludzi. Zaczęto trzeźwić biednego Janasza, który nierychło oczy otworzył, z wysiłkiem wielkim rzucił się zawstydzony, chcąc się podnieść, i opadł powtórnie omdlały. Wzięli go więc Nikita z Hołobą pod ręce i wynieśli na górę. Jadzia podbiegła zrazu, ale wzrok matki ją powstrzymał, musiała zostać, ksiądz Żudra podjął się pilnować Janaszka i zmusić go, aby spoczął, dopóki sił nie nabierze. Kasztelanic zaś z wielką uprzejmością podjął się zaraz zamek opatrzyć i zarządzić czujność ku obronie. Jadzia z zapłakanemi oczyma nie spostrzegła już nawet, jak ją ścigał wejrzeniami i żegnał...

Tak się ten nowy dzień rozpoczął, z lepszą nadzieją. Deszcz ustał i wicher tylko obłoki pędził. O Tatarach słychać wcale nie było, lecz niemniej na baczności się mieć musiano. Kasztelanic, chociaż na eleganta wyglądał, żołnierzem był świadomym rzemiosła, przezornym i bacznym. Poszedł natychmiast oglądać mury, obliczyć ludzi, broń i zapasy, i Nikicie się wszędzie prowadzić kazał. Nie było kąta, do któregoby nie zajrzał, więc i do budynku w pierwszym podwórcu, gdzie go Agafia przyjęła pokłonem. A że tu wiele izb pustych stało, wybrał sobie parę dla spoczynku, aby Janaszowi nie być ciężarem. Dorszakowa rada, że obrońcę znajdzie, sama się ofiarowała je wyporządzić, bo się o siebie lękała, gdyby sama z Horpyną miała pozostać. Cienie Tatiany i męża chodziły za nią.

Janasza tymczasem znowu objęła gorączka, której się bronił napróżno. Ksiądz mu w łóżku kazał pozostać. Zaprzątniono się około obiadu, który wytwornym być nie mógł, bo wielu do niego rzeczy brakło, a najprzód chleba. Gdy około południa zjawił się znowu kasztelanic na ów obiad oblężonych, stół już był nakryty, a miecznikowa, wzdychając, przepraszała, że głodem morzyć gościa musi.

— Ale cóż dalej poczniemy? — odezwała się, gdy zasiedli. — Tatarowie się nie spieszą, a nas głodem wziąć mogą, bo zapasów wielkich nie mamy. Jam tu niepotrzebna, radabym dziecko i siebie cało stąd uprowadzić, ale jak?

— Nie wiem jak lepiej radzić — rzekł kasztelanic — zamek bodajby przyszło porzucić na mieszczan, nic się tu tak bardzo złego stać nie może. Lecz teraz, gdy się szarańcza poruszyła i łakomstwo jej rozbudzone, gorsza napaść na drodze, niż na zamku, a któż wie czy szpiegów tu nie mają? Spieszyć się więc z odwrotem nie można, i gdyby się do nich uciekać przyszło, tak go trzeba wykonać, aby był jak największą tajemnicą osłoniony.

— Ludzi kilku postrzelanych mamy, i dla tych trzeba wstrzymać się z odwrotem... — mówiła miecznikowa.

— Żywności i na tydzień starczy — rzekł Jabłonowski — spokojnie więc można czekać, a potem ja i moi ludzie służymy w konwoju aż do bezpiecznego miejsca.

Skłoniła się miecznikowa. Mówiono o czem innem; obiad się skończył. Jabłonowski poszedł z dobrej woli Janasza odwiedzić. Chory, choć z silną gorączką, miał całą przytomność i usiłował nie pokazywać po sobie, że cierpiał. Z żywej tylko mowy, ze wzroku i oddechu poznać było można, że nie w zwykłym znajduje się stanie. Kasztelanic rad, że rówieśnika znalazł i mógł pogwarzyć wesoło, przysiadł się u jego łoża. Począł opowiadać przygody swe podróżne, pobyt na królewskim dworze we Francyi, wyśmienite figle i zabawy i tęsknice swe po tem życiu, od którego był oderwany. Wolałby był stokroć pójść pod Wiedeń z hetmanem i królem, ale go żelazna wola Sobieskiego skrępowała tu na pograniczu. Z mowy domyślać się było nawet można, iż piękne chłopię coś zgrzeszyć musiało, za co mu pokutować kazano. Janasz pierwszy też raz w życiu młodzieńca tego rodzaju widział zbliska, i lekkości a swobodzie jego umysłu wydziwić się nie mógł. Czasem go raził, niekiedy pociągał, bo w nim było tyle szlachetności, co pustoty. Dotknęło tylko boleśnie Korczaka, gdy się za troskliwie o Jadzię dopytywać zaczął i niezmiernie jej piękność wychwalać, którą wyznawał się być zachwyconym.

— Nie wiem czemu — ozwał się Jabłonowski — panna miecznikówna na mnie większe czyni wrażenie urokiem niewinności i prostoty, niż nasze dworki wyuczone kunsztownego szczebiotania i krygów.

— Ale pan kasztelanic raz ją tylko widział — zamruczał Janasz smutnie.

— Albożto waszmość nie wiesz, że miłość inaczej przychodzić nie zwykła, tylko od pierwszego wejrzenia! — zawołał Jabłonowski. — Inna niewiele warta.

Płocha ta mowa zmusiła zamilknąć Janasza; niewysłowienie go bolało uwielbienie dla Jadzi, której zdawało się, w jego przekonaniu, uwłaczać. Kasztelanic zaś z człowiekiem, którego za dworaka tych pań uważał, nie myślał zbytnio słów swych rachować: mówił, co mu przyszło do głowy. Chodził po izdebce, czasem do zwierciadełka zaglądając, podśpiewując i ciągle wracając do badania o stosunki, majętności i położenie miecznika, o którym słyszał i wiedział mało. Janasz zmuszony do odpowiadania, starał się w jak najświetniejszych barwach odmalować dom i pana, usiłując natchnąć dla nich większem poszanowaniem. Ale dworak, który się o senatorów poufale ocierał, słuchał tego dosyć obojętnie i wszystkiego mu snadź było mało, bo z tonu swojego nie spuszczał.

— Panna jak malinka! — wołał — jak różyczka!

Tak dzień spłynął do wieczoru. Nareszcie o mroku poczuł się Jabłonowski do obowiązku obejścia zamku, a Janasz sam pozostał. Odetchnął swobodniej. Oczy mu się powoli przymykały do snu; był sam na sam, czuł potrzebę spoczynku, gdy drzwi uchyliły się zwolna, i na palcach weszła Jadzia.

Korczak w mroku poczuł ją raczej, niż zobaczył i zerwał się z poduszek.

— Panno Jadwigo! — zawołał — królowo! pani! co czynisz! co powie pani miecznikowa?! pani tu?!

Jadzia się zmieszała.

— Mama nic nie powie — rzekła, zbliżając się — a jeśli mnie połaje, zniosę. Chciałam widzieć was na oczy moje; tęskno mi, niespokojna byłam, wytrwać nie mogłam. Myśmy ci tyle winne! Czyż grzech, że cię kocham jak brata, mój Janaszu!

Korczak oczy sobie zakrył. Jak pieśń anielska brzmiały mu te słowa.

— Panno Jadwigo, jam sługa, jam niewart. Pani miecznikowa gniewać się będzie nie na was, ale na mnie, bo pomyśli, żem... żem... zapomniał kto ja jestem, kto wy, panno Jadwigo.

— Jakto? brat, siostra! któż inny? Niedobry jesteś dla mnie.

— Co powie pani miecznikowa?

Nie odpowiadając na te słowa, Jadzia zbliżyła się do niego, dłoń drżącą położyła mu na czole spieczonem gorączką.

— Idę już — rzekła smutnie — bądź spokojny, Janaszu! Ty jesteś dla mnie niedobry. Ale nie, nie... żal mi cię. Jam dziecko nieroztropne i nieposłuszne. Dobranoc ci... idę

Janasz nie słyszał, bo zemdlał... W godzinę dopiero ksiądz Żudra, przyszedłszy, znalazł go walczącym jeszcze z mdłościami Krew się rzuciła z rany. Musiano go cucić, zawiązywać, otrzeźwiać. Dano po cichu znać miecznikowej i posadzono kobietę na straży.

Noc już nadchodziła i mrok gęsty padał na dolinę, gdy ludzie przerażeni usłyszeli daleki tętent z końca drugiego wąwozu płynący i ponad rzeczką postrzeżono mrowie czarne, zwijające się kłębami: Z drugiej strony pędził także oddział na miasteczko. Ze wszystkich parowów razem wysuwała się dzicz, jakby na jedno skinienie i z wrzaskiem już biegła ku zamkowi. Lud w dolnem podwórzu cały ruszył się i mury rozległy krzykiem:

— Tatarzy! Orda! *) Tatarzy!

W tej chwili Nikita z dwoma hajdukami podpalili most na przekopie dzielącym zamek od miasteczka. Płomienie buchnęły do góry i rozświeciły bramę, w której oknach widać było głów mnóstwo, a w przeciwnej stronie tłum dziczy, która, dobiegłszy do nawpół rozrzuconego, palącego się mostu, stanęła jak wryta. Była chwila milczenia, a potem ze wszystkich stron zaczęli krzyczeć Tatarowie: Ałłah! Ałłah!... i w pisku ich pomieszanych głosów nic już prócz groźby i zajadłości rozeznać nie było można.

Na górnym zamku panowało milczenie.

Janasz chciał się zerwać z łóżka, krzyknął: »Tatarowie!« i padł bezprzytomny.

*) Orda, oddział tatarski większy lub mniejszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŚCIEL SIĘ TĘCZO!

Ściel się, tęczo! nad mą chatą,
Ach! bo smutno mi...
Wszyscy poszli, — jam została!
Łza mi oczy ćmi.

Ściel się tęczo! moją chatę
W krasny owiń pas
Ach! bo mi już na tej ziemi
Promyk szczęścia zgasł.

Ściel się tęczo! jam sierota,
Bez mateńki mej,
Bez tatusia jam pieszczoty,
Sama w doli złej.

Więc rozjaśnij, ty mi tęczo,
Mroczny w izbie cień...
Spij z mych oczu łzy sieroce,
Kiedy gaśnie dzień...

I ukołysz ty mię do snu
Cichą nocką tą...
A w śnie drogą mi mateńkę,
Znieś nad chatę mą.

I tak, tęczo, ja przez życie
Pójdę z tobą tam,
Dokąd poszła ma mateńka:
Do niebiosów bram!

Stefania Szybowiczówna.

Zajęcie Rzymu.

Jeszcze w połowie ósmego wieku, bo w 756 r. król frankoński, Pepin Mały, darował kościołowi katolickiemu miasto Rawennę i całe wybrzeże wschodnie Włoch od ujść rzeki Padu do miasta Ankony. Papieżem był wtenczas Stefan II, który darowiznę przyjął i tem samem dał początek Państwu kościelnemu.

Państwo Kościelne przechodziło różne koleje: raz dochodziło do wielkiej potęgi i znaczenia pod rządami energicznych papieży, drugi raz stawało się słabem i nic nieznaczącem. Ale nietylko Państwo kościelne podlegało różnym zmianom, lecz całe Włochy przechodziły różne koleje.

Wiele miejsca by to zabrało, aby opisać całą historyę Włoch, przejdziemy więc do czasów najnowszych, bo do 1848 r. Włochy składały się wówczas z kilku państw, w których rządziły różne obce świeckie dynastye; Lombardya i Wenecya należały do Austryi, a w Rzymie i Państwie Kościelnem rządził papież.

Jedynym narodowym władcą był Karol Albert, król sardyński, i on też stanął na czele ruchu dążącego do wyparcia z Włoch obcych książąt i zjednoczenia całego kraju pod berłem rodzinnem dynastyi. Gdy w 1848 r. wybuchła rewolucya w austryacko-włoskich krajach, wkroczył Karol Albert do Lombardyi, lecz tu pobił go austryacki generał, Radecky.

Mimo to jednak stronnictwo rewolucyjne we Włoszech nie dało za wygraną a naczelnicy jego Józef Mazzini i Józef Garibaldi wzniecili we wszystkich państwach włoskich rewolucye celem zaprowadzenia we Włoszech rządów republikańskich.

Karol Albert obawiał się tego ruchu, więc chcąc przynajmniej północne Włochy dla siebie ocalić, wyruszył znów do Lombardyi, która była własnością Austryi, aby ją dla siebie zagarnąć. Tu jednak został pobity pod Mortarą i Novarą, wskutek czego złożył koronę na rzecz syna swego Wiktora Emanuela, który z Austryą zawarł pokój. Rewolucyę w państwach włoskich zgnieciono, a wygnany papież Pius IX, uzyskawszy pomoc od Napoleona III, wrócił do Rzymu i panował w Państwie Kościelnem pod osłoną wojska francuskiego do 1870 r.

Napoleon III nie posiadał jednak stałego charakteru, wskutek czego prowadził różne układy ze sąsiadami, ale tak niekorzystnie dla siebie, że sąsiedzi wzmagali się a Francya słabła. W tym czasie, bo w 1861 r. przybrał wiktor Emanuel tytuł króla włoskiego, połączywszy wszystkie kraje włoskie pod swem berłem, z wyjątkiem Rzymu, bo nawet Państwo Kościelne dostało się pod jego panowanie. — W Rzymie tymczasem stało wojsko francuskie, a rządy miasta spoczywały pozornie w rękach papieża. Lecz niedługo, bo w 1870 r. Francuzi opuścili Rzym a wojska włoskie go zajęły, pozostawiając papieżowi tylko pałac jego, Watykan, do niepodzielnego użytku.

Od owej więc chwili, a więc przez lat 40, papieże są niejako niewolnikami królów włoskich i nigdy z Watykanu się nie wydalają. Niewola ta jest dla nich tem cięższą, że rządy we Włoszech sprawują ludzie bez wiary, socyaliści i masoni, najwięksi wrogowie Kościoła katolickiego. W niewoli tej przeżył resztę lat swego życia papież Pius IX, całe lata swego papiestwa Leon XIII i Pius X.

W bieżącym roku wszyscy masoni i socyaliści włoscy obchodzili uroczyście czterdziestą rocznicę zajęcia Rzymu, które nastąpiło 20 września 1870 r., cieszyli się z wydarcia papieżowi jego własności i przepowiadali zagładę Kościoła katolickiego.

My, katolicy, nie przestraszamy się jednak ich pogróżek, bo pamiętamy słowa Chrystusa Pana, który rzekł, że bramy piekielne nie przemogą Kościoła katolickiego.

Maćko Borkowicz skazany na śmierć głodową.



Król Kazimierz Wielki, zwany królem chłopków, był panem mądrym i sprawiedliwym, to też nikomu nie dał krzywdy zrobić.

Za jego panowania żył w Polsce mąż dzielny i odważny nazwiskiem Maciej Borkowicz, który pomógł odzyskać zajęte grody: Zbąszyn, Kopanicę i Przystopnię. Za tę ważną przysługę obdarzył go król 15 wsiami i obszernemi prawami. W 1343 roku mianował go kasztelanem lędzkim a w 1346 wojewodą poznańskim.

Borkowicz jednak obok odwagi posiadał w sobie duży zapas zachłanności, to też zamało mu było dostatków otrzymanych od króla. Dlatego począł napadać sąsiadów i rozbijać po drogach.

Król upominał go surowo, aby tego zaniechał, gdy jednak upomnienia nie pomogły, kazał go uwięzić w Kaliszu i obciążonego kajdanami zamknął w Holsztynie. Tam skazał go okrutnie, choć sprawiedliwie, na śmierć głodową, kazawszy mu w lochu więziennym postawić kubek wody i wiązkę siana. Była to rychła i niezawodna śmierć.

Sławny malarz polski, Jan Matejko, odmalował tę straszną chwilę, gdy Maćka Borkowicza zamykają do lochu więziennego. Widzimy na tym obrazie Maćka spoglądającego na ten świat zrozpaczonem okiem po raz ostatni. Zapora lochu podniesiona a on, choć drżący cały, wstępuje po drabinie do swego grobu. Otaczający go ze zgrozą patrzą na tę straszną chwilę, ukazując mu wyrok, że to nie ich, ale monarchy wola. Za chwilę miały się drzwi podziemi zamknąć za nim na wieki — miał odpokutować okropnie za swe straszne zbrodnie.

DO BRONI!

Do broni bracia!... do broni!...
Uzbrójmy dłonie orężem...
Pieśń boju niechaj zadzwoni,
A wrogów naszych dosiężem.

Do pracy bracia!... do pracy!
Do pracy ciężkiej a żmudnej;
Razem złączeni rodacy,
Wytrwamy w sprawie tak trudnej.

Do pracy bracia! — a z Bogiem,
Lud hasłem naszem niech będzie,
Bo lud — potęgą nad wrogiem
I on zwycięstwo posiędzie.

Światło niech jasne zabłyśnie
Nad kmiotków naszych chat strzechą;
Niech miłość w sercach zawiśnie,
Bóg będzie naszą pociechą...

Ugory zakwitną szare,
Lud rozpogodzi swe czoła
I kmiece chaty, te stare
Zabłysną światłem dokoła.

Spiesz „Rolo!“ Na wieś do chaty!
Siej światło nauki błogie!
Tam znajdzie biedny, bogaty
Zachęty wyrazy mnogie.

A po dniach trudu i męki,
Gdy przyjdą święte niedziele;
To weźmie „Rolę“ do ręki,
A znajdzie nauki wiele.

Serce mu żywiej uderzy,
Uczuje spokój na duszy
I słowom prawdy uwierzy,
Przed nim się ciemność rozprószy.

A z ludu tego krwi, kości
Wynijdzie mściciel niedoli,
Złączone serca w miłości
Kajdany skruszą niewoli.

Nad pola nasze i łany
Wolności gwiazda zaświeci,
Niewoli prysną kajdany,
Pieśń chwały w niebo uleci.

Do pracy razem! — a z Bogiem —
Nieśmy więc światło do chaty,
A kraj, co leży odłogiem,
Zabłyśnie wkrótce bogaty...

Józef Jarmuła.

Odkrywanie skarbów natury.

Dzieje odkrycia kopalń, skarbów natury, dziwnym sposobem połączone są przeważnie z okolicznościami, w których ślepy przypadek wielką rolę odgrywa. W jaki sposób np. znaleziono sławne kopalnie dyamentów w Kimberley, w południowej części Afryki, które przyniosły światu dotychczas miliardy? Otóż pewien urzędniczek angielski, podróżujący w owej wówczas pustej i zapadłej okolicy, zatrzymał się w pewnej małej osadzie. Widząc przed chatą dwoje bawiących się kamyczkami dzieci, przyłączył się do nich, by jakoś czas zabić. W czasie gry zauważył, że małe kamyczki chwilami dziwnie zabłyszczały; zaciekawiony odkupił je od dzieci za kilka groszy i zabrał ze sobą. Gdy później w Kapsztadzie pokazywał je przypadkowo jakiemuś znawcy kamieni, ofiarował mu tenże odrazu 16.000 koron za oba kamyczki. Były to, jak się wykazało, czyste dyamenty. Urzędnik ów wrócił tedy bezzwłocznie do owej osady w towarzystwie przyjaciela i kazał sobie pokazać miejsce, w którem dzieci owe kamyczki zbierały. Było to małe zagłębienie w skale w pobliżu osady, od którego wzięły początek sławne kopalnie dyamentów w Kimberley.

W równie przypadkowy sposób odkryto w roku 1897 olbrzymie pokłady złota w Klondyke, w północno-zachodniej części Ameryki północnej. Trzej myśliwi, polujący w owej pustyni, niezbyt obfitej w zwierzęta, zniechęceni bezskutecznem polowaniem, poczęli łowić ryby w płynącej tam rzece. Przy tej sposobności zauważyli na spodzie płytkiej wody coś błyszczącego i po zbadaniu piasku rzecznego znaleźli w nim znaczną ilość złota. W ciągu trzech dni zebrali złota wartości 32.000 koron. — Bogate kopalnie srebra i ołowiu w Rattesnake-Lode w Nowym Meksyku zawdzięczają odkrycie żmiji. Dwóch poszukiwaczy złota, Dugan i Pitcher, wracało w roku 1877 po długiej bezskutecznej wędrówce do domu. W drodze napotkali jadowitą zmiję i poczęli ją obrzucać kamieniami przydrożnemi. Kamienie rzucane wielką siłą, rozpadały się na kawałki, wydając brzęk metaliczny. Zbliżywszy się do zabitej żmiji i zbadawszy kamienie, odkryli podróżni w nich srebro i ołów. Po sześciu miesiącach sprzedali swą posiadłość za półtora miliona koron.

Dziwny przypadek odegral także rolę w odkryciu niezmiernie bogatych pokładów złota w Laka Valley w Nowym Meksyku. Jakiś łowca dzikich koni, Jerzy Lufkin, spadł w pogoni za zbiegłym koniem z własnego konia, który jedną nogą wpadł w dół, służący za schronisko psu pustynnemu. Spadnięcie z konia uważał za wielkie upokorzenie. Zły humor Lufkina jeszcze się pogorszył, gdy spostrzegł, iż rzemienie u siodła zupełnie były stargane; musiałby bowiem z siodłem na plecach wracać pieszo do domu na pośmiewisko sąsiadów. Na dobitkę odezwało się w tej chwili ochrypłe szczekanie psa pustynnego. Wściekły ze złości porywa Lufkin leżący w pobliżu kamień, chcąc go rzucić na psa. Wtem spostrzega w nim złote żyły i w tej chwili zapomina o psie i o swym gniewie, ciesząc się ze szczęśliwego odkrycia.

Podobnemu przypadkowi zawdzięczają swe od krycie kopalnie złota w Downie-Ville w Ameryce północnej. Pewien Francuz, poszukujący długo bezskutecznie złota, porzucił wkońcu wszelką nadzieję i zabrał się do polowania. Pewnego dnia strzela do bażanta; kula jednak zamiast ptaka trafiła w skałę. Rozgniewany bierze mimowoli do ręki odstrzelony kawałek kamienia i z wielkiem zdziwieniem widzi, że kamień w trzech czwartych składa się ze złota.

O królu, co córkę za dziada niby wydoł.

Beł se roz król, co mioł pieknom córke. Ta córka przez cały dziń nic nie robiła, ino nieubrano i nieumyto w łózku lezała i z misy kiełbase i smacne ciastecka zjadała. Ociec, niby ten król, kcioł jom ozenić niby z jakiem królewicem, abo i z insym rycerzem wielgim, ale ona zadnego wybrać nie kciała, ino cięgiem te kiełbase z ciastem jadła i chodziła usmarowana, nicem pomywacka ostatnia od zyda, abo i ten kominiorz. Tak chodziła umorusana, niepomna na swoje królewskie urodzenie i zycie, aze sie ludziska w cały wsi śni śmieli. Tak sie ociec, niby ten król, okrutnie wkońcu ozeźluł, kozoł przyjść wszyćkim ministrom i tak do nik pado mówi:

— Kiej moja córka nie kce za chłopa zadnego królewica ani innego porzonnego cłowieka, to jom potrza naucyć rozumu!

Tak oni, niby te ministry, kiwnyli głowami, niby co tak potrza, bo wszyćkie ministry byli przecie od tego, aby głowami kiwali, tak jak tego chciał król. Jakby byli nie kcieli głowami kiwać, toby ich był wygnał, gdzie pieprz rośnie.



Tak im król pado mówi:

— Zebyście do końca świata głowami kiwali, to i tak nic nie wykiwacie, bo samo kiwanie chłopa zadny babie nie przysporzy. Radźcie, jak to sie do tego ucenia zabierzewa!

Tak jak zaceni radzić, tak uradzili, zeby jom przez te złość i la ukarania jej upartości za dziada wydać. Tak kazoł król policyantom trombić i bembnić na wszyćkie strony, coby sie dziady do zamku zlatowali, bo se królewna śnik chłopa obiarze. Tak sie pozłaziło cały zomek dziadostwa, a jesce i przed zomkiem cała chmara stojała. Były tam przeróżne: i ślepe i kulawe i głuche i garbate i małe i wielgie i grube i hude, a wszyćko to sie śturchało i popychało, biło, jak to dziadostwo zawse robi, jak sie o gros rozchodzi, a tu przecie o królewne sło, to kuzdy kcioł być pirsy. Tak jak ten król posłysoł straśny rajwach, jaki dziady wyprawiały, tak pado mówi do córki:

— Nie kciałaś z porzonnym cłekiem sie zenić, to pódzies za dziada. Pódź i obierz se chłopa, bo inacy bedzie źle z nami.

Tak ona posła z królem. Ale jak uźrała jakich to kawalirów ociec ji sprowadziuł, tak pado:

— Nie kce zadnygo dziada za chłopa — i zacena beceć.

Ale sie ociec zgniwoł i krzyknoł:

— Zaroz mi obiroj, bo cie zerznąć kaze i wsadze do scurów do piwnice! Nie kciałaś inksego cłeka, to musis być dziadową zoną i kuniec.

Tak sie ona zlękła i wybrała se dziada starygo i chudego jak scypa, bo se myślała:

— Ty tu przecie wnetki zdechnies, to ostane gdowom i wtedy wybiere, se jakiego bede sama kciała.

I pado mówi do ojca:

— To juz ten niek bedzie moim chłopem.

Tak król ozpędził reśtę dziadostwa na śtyry wiatry; kozoł wziąść wody do cebrzyka i scotkom dziada wyprać, doł mu lepse ubranie i kozoł ślub zrobić. Wszyćko sie z królowny śmiało, ze se takigo galantego chłopa obrała, ale ona sie ciesyła, ze wnet gdowom ostanie; ciesyła sie, ze dziod jom musi słuchać i robić, co ona koze.

Tymcasem dobrze ludzie gwarzą, ze bida wielgo jest, jak sie zrobi z dziada pon, bo sie mu zdaje, ze wsyćkie ludzie na świecie to dziady a ino on jeden lepsy.

Dziod, jak ostoł króleskim zięciem, tak nic nie robiuł, ino do góry bzuchem lezoł i od rana do noce zar, a ona musiała donosić i słuchać go, bo inacy, to pasem rznął.

Tak było rok i bez mała sześć niedziel.

Jednygo dnia dziod zjod juz dwa cebrzyki flaków, a jak sie do trzeciego zabiroł, tak ze straśnym hukiem pęknął. Tak sie królowna uciesyła i leci do oćca i pado:

— Ociec, teroz jo gdowa, bo mi dziod pęknął.

Tak sie król zacon śmioć, jaze mu sie brzusysko trzęsło i pado mówi:

— Tyś zadno gdowa, boś zonom dziadowom nie była, ani ślub nie był prawdziwy, bośwa tak umyśnie zrobili, coby cie porzondku naucyć. Bedzies teroz porzonnom?

— Bedem.

— Na zawsze?

— Na zawsze!

— Kces królewica abo rycyrza za chłopa?

— Kcem!

— No jak kces, to se teraz będzies mogła wybrać, ale musis wybirać prendko i mądrze, bo jak nie, to teraz ci się naprawdę dziad dostanie — odparł król z uśmiechem.

Tak znowu policyanty trombiły i bembniły po całem świecie, coby sie królewice i rycyrze zlatowali, bo córka zmondrzała, jest porzonno znowu, i król kce, coby se chłopa wybrała.

Nazjizdzało sie znowu pełny zomek kawalirów, ale pieknych i śmigłych, jak młode śwircoki. Królowna se jednygo obrała i król prawdziwe, króloskie weselisko sprawiuł. Na wesele zjechała sie taka chmara królów i królowych, rozmaitych ksiąząt, a wszyćko to jadło i piło tak okrutnie, ze wódki i zimioków w całem kraju zabrakło i musieli dopiro z Hameryki sprowadzać.

Królewna teraz z prawdziwem chłopem żyła śćęśliwie jaze do samy śmierci, amen.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

XI.

Zerwałem się na równe nogi, orzeźwiony jasnem, wesołem słońcem, a zaraz też Antek wszedł i zaraportował mi, że pluton już od dwóch godzin czeka na mnie na drodze.

— Czemużeś mnie nie obudził?

— Pan porucznik spał tak mocno, a przytem w ubraniu, więc domyśliłem się, że po nocy bezsennie spędzonej. Nie chciałem budzić, zresztą co się tam żołnierzom stanie, że sobie poczekają trochę w cieniu, i tak po całych dniach nic nie robią, tylko się wylęgają jak hrabiowie.

Przypomniałem sobie, że o ósmej naznaczyłem Julci schadzkę w ogrodzie, rzekłem więc żywo:

— Idz powiedz wachmistrzowi, że dziś mustry nie będzie.

Wydawszy ten rozkaz, żwawo przebrałem się i miałem już wyjść, gdy uwagę moję zwrócił rękopism wzięty z »Sułtańskiej komnaty«, leżący na stole. Uważając za stosowne ukryć wszelkie ślady mej nocnej wyprawy, schowałem papiery do szafy, którą zamknąłem na klucz i wybiegłem do ogrodu.

Altana owa, w której wyznaczyłem schadzkę, mieściła się na końcu wielkiej alei grabowej, wśród gąszczu bujnej roślinności, z widokiem na ruiny kościółka. Miejsce to było ustronne, zaciszne, pełne cienia i chłodu.

Siadłem w niej na ławce i oparłszy głowę oburącz na stoliku, w głęboką i smutną pogrążyłem się zadumę. Wzadumie mojej, błądząc oczyma po ziemi, spostrzegłem nagle przed samemi drzwiami, a raczej otworem, bo drzwi w altanie wcale nie było, na rozmokłej ziemi liczne ślady nóg. Innym razem zapewne nie byłbym na to zwrócił żadnej uwagi, ale w tym domu, gdzie wszystko zdawało się być okryte dziwną tajemnicą, te ślady nóg zastanowiły mię nieco. Przedewszystkiem bowiem, ktoś co je wydeptał, nie mógł pozostawić po sobie śladów wczoraj, gdyż dzień był piękny, a od paru tygodni panowała susza i dopiero w nocy spadł deszcz i rozmoczył ziemię; również nie były to ślady dziś rano zostawione, świeże, bo jakkolwiek deszcz padał całą noc, ale o świcie ustał i słońce przez te kilka godzin na tyle obsuszyło ziemię w ogrodzie, że można było wszystkie ścieżki przejść, nie zabłociwszy się wcale. Oczywiście więc ślady te pochodzą od kogoś, co się tu w nocy znajdował i to dobrze już w nocy. Należy mi tu wspomnieć, żeby dać poznać całą doniosłość moich przypuszczeń na widok tych śladów, że z altany, a raczej z jej drzwi, doskonale było widać okna mego mieszkania i sułtańskiej komnaty.

— Czyżby mię kto szpiegował? — szeptałem — a jeżeli tak, to dlaczego i kto?...

Badając bliżej owe ślady, rozróżniłem w nich wyraźnie dwie osoby. Jedna stojąca nieco na zewnątrz altany miała nogi większe i niezgrabniejsze i buty z podkówkami; druga zaś widocznie oparta o drzwi, była w butach zgrabnie uszytych, bez podkówek. Obie osoby zwrócone były przodem ku dworowi.

— Oczywiście — szeptałem — światło z okien sułtańskiej komnaty było tu widać doskonale. Szpiegowano mnie, wiedzą o mej nocnej wyprawie, i przysięgam, że to nie kto inny tylko Hiszpan, ale kto ten drugi? I patrząc na ślady tej drugiej osoby, spostrzegłem przy nich wyraźny ślad psa.

— Był więc i pies. Ha! nic mi nie pozostaje, jak korzystać z tego, że ziemia zachowała ślady szpiegów, iść za temi śladami. Zaprowadzą mię one przecież gdzieś.

Ale w tejże chwili usłyszałem szelest sukienki i Julcia spłoszona, trwożna, ledwie mogąca oddychać, rumiana i śliczna stanęła przedemną. Wszelkie inne myśli, wszelkie posępne obrazy pierzchły z mej myśli na widok tego cudownego zjawiska.

— Mój Boże, mój Boże — szeptała siadając na ławce i zakrywając oczy rączkami — na co ja się narażam, po co ja tu przyszłam.

— Julciu — zawołałem, klękając przed nią — ja cię kocham i wiem, że i ty mnie kochasz. Nie mogłaś, nie powinnaś mi była odmówić tej jedynej i ostatniej zapewne łaski.

— Tak, kocham.

— I pójdziesz za innego, będziesz żoną tego... tego Holma?...

— Muszę... dałam słowo... — i pobladła jak ściana.

Krew mi uderzyła do głowy, porwałem się na równe nogi i począłem biegać po altanie jak szalony. A ona biedaczka drżąca i blada siedziała nieruchoma i spostrzegłem na jej twarzy dwie duże łzy, łzy jak perły czyste... Zatrzymałem się i patrząc na nią, spostrzegłem, że nagle ktoś zasłonił światło u wejścia. Obróciłem się żywo i ujrzałem pannę Maryę.

Zrazu nie wiedziałem, co ze sobą zrobić i stałem niemy, wpatrzony w poważne oblicze Maryi, która wolno zbliżyła się do Julci, usiadła przy niej, ucałowała ją i obtarłszy jej łzy, rzekła do mnie:

— Panie Kazimierzu, musimy ze sobą pomówić szczerze i otwarcie, jak przystało przyjaciołom. Siadajże pan i posłuchaj.

Usiadłem i wzruszony do głębi zakryłem twarz obiema rękami. Chwilę trwało milczenie, aż przerwała je Marya.

— Julcia od roku jest narzeczoną jenerała Holma, dała słowo i dziaduś także. Zresztą nie mamy słusznego powodu zrywać tego małżeństwa. Panna, która ma narzeczonego, nie powinna i nie może od dać serca drugiemu.

— Odpowiedzże mi pani — rzekłem — jak się to stało, że panna Julia została narzeczoną tego... tego Holma?

— Stało się to bardzo prostym sposobem. Przed wojną mieszkałyśmy z ciocią w Krakowie i hrabia Holm, który tam stał załogą, bywał w naszym domu. Kiedy wojna wybuchła, poszedł na nią i zapoznał się z dziadkiem, skutkiem jakiegoś wypadku, którego szczegółów nie znam i który wreszcie do rzeczy nie należy. Dość, że zrobił podobno wielką przysługę dziaduniowi. Po zawarciu pokoju przyjechałyśmy tutaj na wieś i w jakiś czas potem hrabia Holm nas odwiedził i oświadczył się o rękę Julci. Ponieważ znaliśmy go dobrze, dziadunio mu był dużo winien, Julcia nie miała nic do zarzucenia temu małżeństwu, więc został przyjęty...

— Daruj pani — rzekłem — ale zdaje mi się, że panna Julia była wówczas bardzo młoda, wreszcie czy hrabia Holm odpowiada wszystkim warunkom męża dla panny Julii?

— To prawda, że Julcia była młoda, ale bądź pan pewny, że przymusu tu nie było, jabym wreszcie tego nie zniosła. Co zaś się tyczy hrabiego Holm, jest to człowiek uczciwy i honorowy... Znamy go dobrze i jego rodzinę. Ale kiedy już mamy mówić szczerze, to powiem panu, że hr. Holm nie jest tym mężem, jakiegobym ja sobie życzyła dla Julci i gdyby się znalazł jaki powód, bądź pan pewny, pomimo oporu dziadunia, cioci i markiza, zerwałabym to małżeństwo...

— Markiza? — zawołałem — a cóż markiz, człowiek obcy rodzinie, ma do tego?

Panna Marya zrazu nic nie odrzekła, tylko obejrzała się i szepnęła:

— Mów pan ciszej... jakkolwiek nie obawiam się tego człowieka, ale nie chciałabym, żeby hrabia Holm wiedział o naszej rozmowie. Markiz jest przyjacielem hrabiego, przynajmniej sam tak utrzymuje.

— O! — rzekła milcząca dotąd Julcia — pan Holm gardzi markizem, zauważyłam to nieraz...

— Tak — odezwała się zamyślona Marya — a jednak między tymi ludźmi jest jakiś związek, który każe im się wspierać wzajemnie. Jest to jedyna tajemnica, której znaczenia nie rozumiemy w panu Holm... Tak... tak!... ale nie mamy prawa o to pytać hrabiego, co najwyżej mogę go zapytać, gdzie się poznali z markizem?

— A jednak — rzekłem — ta tajemnica stanowi jądro kwestyi i jeśli hrabia Holm nie odkrył jej dotąd, to widać, że nie może jej odkryć. Wybacz pani, że ci zadam kilka pytań, ale idzie tu o moje życie, o moją przyszłość całą. Przedewszystkiem idzie tu o markiza, który w sprawie małżeństwa panny Julii gra jakąś rolę...

— Rolę bardzo jasną: chce koniecznie, żeby to małżeństwo przyszło do skutku — szepnęła Julcia.

Gdy to rzekła Julcia, przyszły mi na myśl wczorajsze słowa markiza.

— Posiądziesz tajemnicę rodziny, tajemnicę, która ci odda Julcię, pomimo wszystkich hrabiów Holmów...

Oczywiście więc markiz nie jest takim przyjacielem Holma, za jakiego się wydaje. Myśl ta przebiegła mi przez głowę błyskawicą, ale nie wyjawiłem jej, zachowując to sobie na później, gdy będę miał więcej dowodów. W tym celu pytałem dalej:



Pierwszy wyraz był Fatyma Sułtanka (patrz nr. 37).

— Niech mi więc panie powiedzą, jakie stanowisko w tym domu zajmuje ten Hiszpan, skąd się tu wziął?

— Doprawdy — rzekła Marya — nie umiem panu na to odpowiedzieć. Kiedyśmy po wojnie przyjechały tutaj, zastałyśmy już markiza. Dziadunio tylko kilka razy dał się z tem słyszeć, że markiz ocalił mu życie... ale gdzie i kiedy nie wiem. Podobno był jakiś napad na dwór żołnierzy austryackich i markiz okazał się bohaterem. Zresztą nic więcej nie wiem, choć przyznam się szczerze, chciałabym wiedzieć, bo ten człowiek zanadto jest rozumny, zanadto przebiegły, by miał tu siedzieć nadaremnie. Należy i to panu powiedzieć, że markiz głównie nalegał na dziadunia o oddanie ręki Julci hrabiemu, a hrabia znowu wstawiał się za markizem, by mógł pozostać w Grzymale.

— Otóż to jest tajemnica, którą należy wyjaśnić — rzekłem.

Marya zamyśliła się chwilę i w końcu odezwała się:

— Masz pan racyę — w tak ważnej sprawie jak małżeństwo Julci, nie może i nie powinno nic być tajemnicą. Zapytam się o to hrabiego i muszę wiedzieć kto jest ten markiz i czego tu chce. Człowiek ten owładnął dziaduniem, prowadzi interesa, wie o wszystkiem, więcej niż my... Co się zaś pana tyczy, panie Kazimierzu, nie smuć się pan, jesteś mężczyzną.

Chwyciłem się za głowę i wybiegłem z altany jak szalony. Przyszedłszy do siebie, począłem płakać... rozpacz mię ogarniała i w pierwszej chwili chciałem sobie w łeb wypalić, ale zimna rozwaga i religijność wstrzymały mię od tego.

— Tchórz jesteś — mówiłem sobie — gdzie męstwo? Walcz... walcz.. a może ją posiądziesz. Jeszcze nie wszystko stracone. Między Holmem a markizem istnieje jakiś sojusz, oparty na wspólnej tajemnicy. Wykryj tę tajemnicę, zedrzyj maskę z łotrów, bo że markiz jest łotr, to wiesz dobrze, a hrabia zapewne tyle wart co i Hiszpan. Dalej, głowa do góry! Jej i twój własny los zależy od twego rozumu, zręczności a przytem i męstwa.

Śród tych rozmyślań przyszedł stary Łukawski i wezwał mię na śniadanie. Z początku chciałem nie iść, ale po pewnym namyśle, postanawiając okazać siłę i męstwo wobec biednej Julci, poszedłem. Zastałem już wszystkich, oprócz Julci. Marya widocznie chcąc mi wytłómaczyć tę nieobecność, rzekła, że Julcię trochę głowa boli. Zresztą wszyscy t. j. ciocia i markiz byli spokojni. Ciocia karmiła pieski, a markiz czytał gazety francuskie. Ja nie miałem ani ochoty ani siły do prowadzenia rozmowy, podobnie i panna Marya, milczeliśmy więc oprócz cioci, która ciągle uskarżała się na gorąco i migrenę.

Nagle markiz rzekł z poza gazety:

— Cóż to, zaspałeś pan dzisiaj, poruczniku? twój dzielny pluton czekał na ciebie dwie godziny, dwie długie godziny, nieruchomy, i czekał daremnie... Zaspałeś pan? burza nocna ukołysała cię do snu, a może noc pełna wzruszeń, snów i marzeń? Co?... o, tak, w młodości pięknie się marzy, śni cudownie, zamki na lodzie stawia; ale strzeż się, młodzieńcze. Cóż, zaspało się, hę?

— Tak, zaspałem trochę! — odrzekłem zimno.

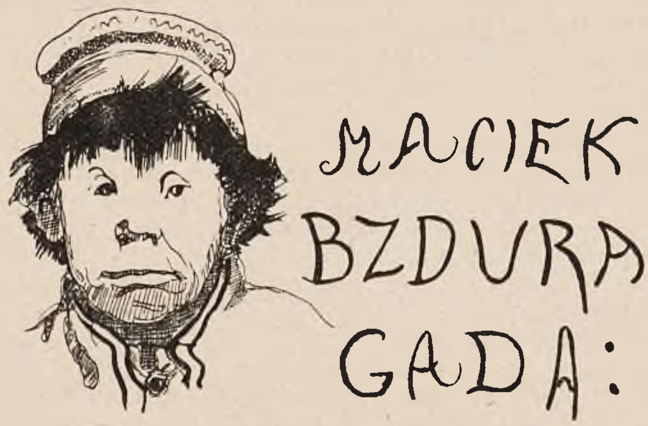
Rozmowa ta przekonała mię, że Hiszpan szpiegował mię w nocy i wie o mojej bytności nocnej w »Sułtańskiej komnacie«, dostrzegłem również w jego słowach groźbę, postanowiłem ją więc odeprzeć także groźbą.

— Tak, zaspałem — powtórzyłem — ale gdy trzeba bądzie czuwać, z pewnością nie zaśpię...

Markiz popatrzał na mnie chwilę, uśmiechnął się dobrotliwie i począł mówić o czem innem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W przyszłym numerze podamy ogłoszenie naszego kalendarza na rok 1912.



Przed śtyrdziestu laty włoskie socyalisty pedziały, co Państwem kościelnem lepiej potrafią rządzić różne heretyki i niedowiarki, jak sam Ociec święty. Kto głupi, toby myślał, ze ludzie od tego casu choć krzynkę zmądrzeli, ale ja padom, ze duzo jesce na świecie ludzi głupich, a moze jesce głupsych, jak przed śtyrdziestu laty.

Wiemy wszyscy, tak gospodarz, jak i ja a nawet gospodyni i Kaśka, ze do tego casu takie same socyalisty są na świecie a nawet przyplątały się do nasego kraju, zasiadły w miastach i do wsi się pchają. Co prawda to ani w nasy wsi ani w zadny insy Ojca świętego nima, to go nie wyścigają, ale mamy zato księży i nasą świętą wiarę katolicką, to huzia na nią i chcą ją skasować.

— Co jem wadzi nasa wiara? — pytam ja się wkiejsik prefesura. — Jak jem się chce wierzyć w zydowskie icki, to niech se wierzą, ale nam niech dadzą święty spokój!

— Et, — powiada na to prefesur — kiej właśnie ta nasa wiara jem okrutecnie przeszkadza.

— A w cemze jem to przeszkadza? — pytam się. — Niech oni se idą swojom drogą a my swoją.

A prefesur na to:

— Właśnie, że tak oni nie chcą. Jem trzeba wielu złych rzecy, na które nasa wiara nie pozwala. Dlatego oni tę wiarę chcą wyrzucić, a jak wiarę wyrzucą, to i te wszyćkie złe rzeczy mieć będą.

— A jakie to są te złe rzecy? — pytam.

— Jest ich wiele, ale najważniejsze to ci powiem. Uwazas oni chcą, aby wszyscy ludzie mieli jednaki majątek, bez względu, cy kto pijak cy nie, cy próżniak cy pracowity. Socyalisty chcą, aby na ten przykład twoja Kaśka nie była ani twoja, ani Bartkowa, ani Walkowa, ani nicyja, ale zeby ona była wszyćkich.

— O psia kość — padom — to źle!

— Juści, ze źle, ale oni tak chcą, a tego właśnie zabrania religia katolicka. Oni chcą takze, aby wszyscy ludzie ino osiem godzin pracowali a potem lezeli do góry brzuchem, abo po karcmiskach pili.

— No, a coby jedli, jakby tak krótko robili?

— Z pocątku toby się tam jesce i jeść co znalazło, ale zapóźni, toby ludziska sami palagrafy socyalistów skasowali a do roboty się zabrały.

— No to dobrze — padam — ale coby się stało z zeniatemi babami?

— Coby się stało? — musiałyby takze od swych chłopów odejść i być nazad panienkami.

— No toby się dopiro mój gospodarz ucieszyli — wyrwało się mi na to.

— E, gdzietam! Tobie się ino tak zdaje, ze twoja gospodyni zła baba, ale ono tak nie jest, bo ona ino w gębie kwarda a serce ma miękkie.

Z TYGODNIA.

Zwołanie sejmów. Sejm czeski zwołany został na 20 września. Aby krótka sesya sejmowa w jakim takim spokoju odbyć się mogła, namiestnik czeski książę Thun rozpoczął rokowania ugodowe między Niemcami a Czechami. Na razie rozchodzi się o to, aby sprawę uregulowania płac nauczycielskich sejm załatwił. Zanim sejm czeski zacznie regularnie pracować, dużo jeszcze wody upłynie, gdyż tak Czesi jak Niemcy nie chcą się pogodzić w wielu zasadniczych sprawach, dotyczących głównie używania w urzędach i sądach jużto czeskiego, jużto niemieckiego języka. O zwołaniu Sejmu galicyjskiego na razie nic nie słychać.

Zwołanie Rady państwa. Prezydent Izby poselskiej Dr. Sylwester zwołał na dzień 15 b. m. konferencyę przewodniczących klubów parlamentarnych. Na konferencyi tej ma być ustalony termin zwołania parlamentu. Jak słychać prezydent ministrów bar. Gautsch życzy sobie, ażeby parlament zebrał się najpóźniej 5 października. Zdaje się też, że na konferencyi ten termin ustalony zostanie. Podobno przed zebraniem się Rady państwa niektórzy ministrowie dotychczasowi ustąpią.

Groźba strajku kolejowego w Austryi. — Wrzenie w kołach austryackich kolejarzy wzmaga się; na odbywających się codziennie niemal konferencyach poufnych przewódców postanowiono domagać się co najmniej 25 procentowego podwyższenia dodatku do płacy, uregulowania sprawy urlopów i innych jeszcze ustępstw. Rady pewnej części kolejarzy, ażeby wstrzymano się z rozpoczęciem biernego oporu aż do zebrania się parlamentu i by poczekano na to, co on w ich w sprawie zdziała — nie znajdują uznania u większości, która domaga się natychmiastowego rozpoczęcia »akcyi wojennej«. — Donoszą z Pragi, że i tam wobec ciągłego podnoszenia się cen środków żywności oburzenie wśród kolejarzy wzmaga się z dnia na dzień. Spokojniejsze stanowisko zajmują w tej sprawie kolejarze galicyjscy i z południowych krajów austryackich.

Rozruchy drożyźniane we Francyi i Belgii. W wielu miastach francuskich nie ustają rozruchy z powodu drożyzny. Tysiączne tłumy przeciągają ulicami, niszcząc wystawy sklepowe, kramy handlarzy, rozbijając szyby. Często musi występować wojsko, które tłum obrzuca kamieniami. Z Francyi przeniosły się rozruchy do sąsiedniej Belgii, gdzie w wielu miastach wzburzone tłumy niszczyły na targach spożywczych sklepy handlarzy, którzy nie chcieli sprzedawać jaj, masła i drobiu po cenach dawnych.

Cholera. Groźna zaraza nie wygasła jeszcze na Węgrzech; w ubiegłym tygodniu w Budapeszcie umieszczonach było w szpitalach jako podejrzanych o cholerę 76 osób; u siedmiu z nich stwierdzono cholerę. Zdarzają się też ciągle wypadki na prowincyi. W miejscowości Uj Pest stwierdzono nowy wypadek cholery. W Czöldemölk pewien podróżny jadący w pociągu z Gracu, zachorował wśród objawów cholerycznych. W Wiedniu jedno z dzieci zmarłej na cholerę Jagerowej, zachorowało również na cholerę. Inne jej dzieci, będące pod obserwacyą, mają się dotąd dobrze.

We Włoszech, w południowych okolicach kraju cholera szerzy się dalej. W niektórych miejscach przychodzi nawet do rozruchów. Burzy się ludność, która w ciemnocie swej myśli, że lekarze roznoszą zarazę i nie chce do ich zarządzeń się zastosować. W miejscowości Massafra tłum napadł na zamknięty lokal, w którym trzymano podejrzanych o cholerę i uwolnił ich. W Turcyi cholera szerzy się zastraszająco.

KRONIKA.

Pomnik grunwaldzki na wsi. Na niedzielę, 17 września naznaczono odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego w Gręboszowie, rodzinnej wsi posła Jakóba Bojki.

(W. T.) **Uczczenie posła.** Dnia 8. u. m. uchwaliła jednogłośnie Rada miasta Wojnicza, nadać honorowe obywatelstwo Drowi Antoniemu Matakiewiczowi, b. naczelnikowi sądu w Wojniczu a obecnie w Tuchowie i posłowi do Rady państwa, w dowód wdzięczności za zasługi, jakie tenże poniósł dla dobra miasta. Celem wręczenia dyplomu, przybyła do Tuchowa dn. 6. b. m. delegacya Rady miasta Wojnicza, z wiceburmistrzem p. Walentym Królikiewiczem i Zygmuntem Grechowiczem, notaryuszem. Wręczając dyplom posłowi Matakiewiczowi, przemówił do niego w jędrnych i serdecznych słowach p. W. Królikiewicz, podnosząc zasługi i starania jego, jakich nie szczędził dla dobra miasta, szacunek i sympatyę, jaką cieszył i cieszy się powszechnie. Kończąc swe przemówienie, prosił, by Dr Matakiewicz i jako poseł pamiętał o miasteczku, w którego pamięci tak wdzięcznie się zapisał. W odpowiedzi, Dr Matakiewicz, dziękując za tak zaszczytne dla niego odznaczenie ze strony Rady królewskiego, wolnego miasta Wojnicza — przyrzekł zawsze o niem pamiętać i na każdym kroku strzedz i bronić jego interesów.

Na budowę kościoła: Z Miękisza nowego otrzymujemy następującą odezwę: My Polacy z Miękisza nowego, Czerniawki, Tuchli, w liczbie 500 dusz (70 numerów), a wśród Rusinów 6000 dusz, mamy dla swych potrzeb duchownych zaledwie maleńką kapliczkę przy Ochronce, w której pomiescić się może najwyżej 30 osób — postanowiliśmy użyć wszelkich naszych sił, aby wybudować kościółek na Ekspozypozyturze, celem powstrzymania od rutenizacyi. Otrzymawszy zapewnienie ze strony konsystorza, iż dostaniemy księdza już w październiku b. r., byliśmy zmuszeni zająć się wystawieniem plebanii, stodółki ze stajnią, niestety brak nam dalszych funduszów na budowę kościółka. Postanowiliśmy więc udać się do ludzi, o których słyszeliśmy, że są dobrymi Polakami i katolikami o pomoc, choćby najskromniejszy datek na budowę tegoż kościółka prosząc Was drodzy bracia i siostry w Chrystusie, abyście nie odmówili naszej pokornej prośbie. W nowo wybudowanym kościółku będziemy się modlić za łaskawych ofiarodawców i dobrodziejów w każdej mszy św. Wszelkie datki prosimy nadsyłać na ręce przewodniczącego Franciszka Możdżana.

Za komitet: Przewodniczący: *Franciszek Możdżan; Jakób Gonciarz, Stanisław Kotfis, Wojciech Piguła.*

Miękisz nowy, dnia 3 września 1911 r. poczta w miejscu.

(W. T.) **Pożary.** W Płotyczu, w powiecie tarnopolskim, dnia 4 b. m. o godz. 3 rano wybuchł pożar tak nagle, że w jednym momencie objął 3 gospodarstwa. Zanim przyjechała sikawka, już były budynki w płomieniach. Dzięki Bogu, że była zupełna cisza, bo gminna i dworska sikawka, jakoteż z pięciu sąsiednich wsi, pożar zdołały ugasić i do innych budynków, oddalonych o 4 metry, nie dopuścić. Przyczyna pożaru niewiadoma. Oby nieszczęśliwi znaleźli współczucie u innych, gdyż pod zimę zostali bez kawałka chleba i dachu nad głową.

(J. S.) W przysiółku Polki, należącym do gminy Durdów, w powiecie samborskim, dnia 1 września około godz. 2 popołudniu wybuchł ogień w zabudowaniu Wojciecha Wojtowicza. Ogień zniszczył dom mieszkalny wraz ze wszystkimi sprzętami domowemi. Pożar wznieciły dzieci domowe, które zapaliły ogień pod szopą w słomie. Szkoda wyrządzona wynosi około 200 koron a ubezpieczona była na 400.

(J. M.) W Ligocie przy Bielsku, na Śląsku austryackim, wybuchł w sobotę dnia 2 września popołudniu pożar w domu Borgła. Dzięki energicznej pomocy straży pożarnej z Ligoty i Czechowic, zdołano ogień ugasić i będące w blizkości domy uratować. Pożar spowodowały dzieci sąsiada, bawiące się zapałkami.

Rowerzyści i spłoszone konie. Niedawno temu w powiecie kosowskim, w Galicyi wschodniej, jechało drogą dwóch panów z miasta na rowerach. W pewnem miejscu stała na gościńcu para koni z powozem bez woźnicy. Gdy już minęli konie na jakie 100 metrów, raptem te się spłoszyły i całym pędem leciały na rowerzystów. Ci, umykając przed katastrofą, stracili równowagę i powpadali do rowu pełnego wody. Na szczęście wyszli bez szwanku i uszkodzeń na ciele prawie nie mają.



Droga, o kilkadziesiąt kroków niżej przerwana jest ostatnią powodzią. Konie wpadły powozem do wezbranej rzeki Czeremoszu z wysokości 6 metrowej. Strasznie pokaleczone wyłowiono z wody o kilkaset metrów niżej. Powóz zdruzgotany został na drobne kawałeczki. Konie były własnością pewnego obywatela wiejskiego.

Napady bandytów w Galicyi. W nocy z dn. 2 na 3 września wtargnęli nieznani bandyci na plebanię w Niepołomicach, splądrowali całą plebanię, pootwierali biurka i szufladki, a nie znalazłszy nigdzie pieniędzy, dobijali się do sypialni ks. kanonika Graczyńskiego. Ten, przeczuwając napad, nie otworzył drzwi, a przez to uniknął zemsty opryszków. Ci sami bandyci dokonali w kilku miejscowych szynkach napadu, lecz spłoszeni zbiegli bez śladu i do tej pory ich nie odszukano.

W Zabierzowie, parafii na wschód od Niepołomic, napadło również kilku bandytów na dom bogatego gospodarza, który, broniąc się, zastrzelił dwóch opryszków a trzeciemu uciął rękę. Bandytów miało być kilkunastu, lecz widząc że napotkają na dzielną obronę gospodarza, zbiegli.

Ci sami prawdopodobnie bandyci napadli w nocy na dwór w Grodkowicach. Nie spłoszeni przez nikogo rozpoczęli gospodarkę we dworze i zabrali stamtąd kasę ogniotrwałą, którą rozbili w pobliżu, lecz niczego w niej nie znaleźli. Ostatnie napady bandyckie są dowodem, że w tych okolicach brak dostatecznej żandarmeryi, któraby większą opieką

otaczać mogła mieszkańców, narażonych obecnie na bezczelne napady wałęsających się po wsiach opryszków.

(B. M.). **Przedstawienie amatorskie**. W Załuczu nad Czeremoszem dnia 6 sierpnia na Przemienienie Pańskie odbył się odpust Miła niespodzianka spotkała drożynę pątniczą, bo wprost z nieszporów udała się na przedstawienie amatorskie, odegrane przez dziatwę szkolną i młodzież czytelni Kółka rolniczego, urządzone własnem ich staraniem i siłami. Dawali »Powrót Taty« i »Żyda w Beczce«, który grą komiczną i rolą doskonale odegraną budził śmiech ogólny. Obie sztuczki wypadły bardzo dobrze, a uznanie za to należy się w zupełności PP.: Kmiecikom, nauczycielstwu tamtejszemu, którzy z prawdziwem poświęceniem nad młodziutkimi amatorami pracowali.

(W. Z.) **Wypadek z bronią**. W Kleczy Dolnej koło Wadowic zastrzelił się gospodarz Jakób Grabys dnia 5 b. m. Wybierając się do lasu ze strzelbą coś nieostrożnie z nią robił, tak że dała ognia. Nabój ugodził go w brzuch tak, że mu aż kiszki wyszły. Opetrzony Swiętymi Sakramentami za parę godzin umarł. Pozostawił żonę bezdzietną.

Niemiecki „uczony" na Wawelu. Niedawno zwiedzał zamek wawelski w Krakowie pewien Niemiec z Czeskiej Lipy (z Czech) pochodzący, zajmujący się historyą sztuki. Kiedy mu przewodnik objaśniał część zamku, pochodzącą z XIV. wieku, zdziwił się bardzo i zapytał:

— Jakto? To już wtedy byli Polacy na świecie?

— Byli — odpowiedział przewodnik.

— I nawet zamki budowali?

— Tak..

— A to ciekawe — rzekł historyk i zanotował sobie skrzętnie odkrycie, że w XIV. wieku Polacy nietylko żyli na świecie, lecz i zamki budowali. Takich obcych gości przychodzi na Wawel niemało. Okazuje się, że o naszej historyi, piśmiennictwie i sztuce obcy ludzie nie mają pojęcia. U nas uczeń z 3-ej klasy gimnazyalnej wie o wiele więcej o historyi niemieckiej, aniżeli wykształcony Niemiec o polskiej.

(A. C.) **Piorun**. W sobotę dnia 9 września nad wieczorem pojawiła się w okolicy Mielca burza z piorunami i grzmotami. W kilku miejscach spadły pioruny. We wsi Trzcianie pewna dziewczyna pędziła do domu dwie krowy, ażeby się schronić przed ulewą. Wtem nagle spadł, zdaje się obok niej, piorun, i ona i krowy odrazu padły na ziemię. Gdy to we wsi zauważono, dano jej spieszny ratunek, tak że po pewnym czasie ożyła, lecz z początku nie mogła mówić, natomiast wrzeszczała i rzucała się jak szalona. Dzięki pomocy lekarskiej przyszła do siebie. Krowę również odzyskała, lecz paraliż z niej nie ustąpił jeszcze, ponieważ czuje jeszcze silny ból w sobie. Ma też na sobie ślady silnego zadraśnięcia. Tak to dzięki natychmiastowej pomocy zdołano uratować życie. W tej wsi, nie tak jak w innych, gdzie człowieka sparaliżowanego piorunem składają do trumny i sprawiają mu pogrzeb.

(M. W.) **Morderczy napad** popełniono na 55-letniej kobiecie dnia 5 września w Nowinach, powiecie tarnobrzeskim. Michał Pokuta był w Radomyślu nad Sanem na odpuście Pocieszenia Matki Boskiej. Urządził on sobie grę rzucania kółek i sprzedawał kółka po 20 h. za 10 sztuk, dając do wygrywania zegarki, pularesy i rozmaitości. W ten sposób utargował przeszło 160 koron. Pomagała mu w tem matka i Józef Byczek. Z Radomyśla pojechał z tym samym kramem do Tarnobrzega na odpust Matki Boskiej Siewnej razem z matką i Józefem Byczkiem. Tu znów utargował ze 160 koron. Wieczór posyła Pokuta matkę i Józefa Byczka, dał jej 40 k. a Byczkowi 2 kor. i bilet do Zbydniowa. Ci przyjechali do Zbydniowa o godz. 8 wieczór i udali się do domu do Nowin. W drodze Byczek uderzył kobietę kamieniem w puls. Ta padła zemdlona a Byczek znęcał się nad nią. Gdy przyszła do siebie napastnik począł jej odgrażać, że ją zabije. Kobieta oddała mu owe 40 kor. i prosiła, aby jej darował życie. Lecz mimo to morderca zadał jej 11 ran nożem. Biedna ofiara padła bez przytomności a morderca kopnął ją dwa razy i zaciągnął w krzaki, sam zaś uciekł. Lecz po chwili kobieta przyszła do przytomności. Ledwo się zawlekła do domu, dzieci narobiły krzyku i płaczu. Gdy dzieci zobaczyły matkę skrwawioną i że z boku wyłażą jej płuca, posłano zaraz w nocy po księdza i doktora do Radomyśla. Kobieta mimo tylu ran jeszcze żyje. Żandarmerya zajęła się mordercą i odstawiła do sądu powiatowego.

Śmierć wśród złota. Stare opowieści o skąpcach, umierających samotnie wśród skarbów złota, srebra, drogich kamieni, sprawdziły się niedawno i znalazły wyraz w następującym wypadku: Oto w Czarnym Kościelcu w Czechach żył stary kupiec Rudolf Bergmann, mający milionowy majątek i wiodący życie dziwaka.



Pewnego ranka znaleziono go martwego w swoim pokoju. Na stole leżały stosy monet złotych, którymi stary skąpiec lubił się bawić. Żył on samotnie, tylko w towarzystwie służących. Udar sercowy położył kres jego życiu wśród skarbów złota.

(F. K.) **Pożary na Śląsku**. Dnia 2 b. m. o 12. w południe wybuchł pożar w gospodarstwie Józefa Helisa w Polskiej Lutyni na Śląsku austr. Pastwą płomieni padła stodoła a stamtąd pożar przeniósł się na chlew i dom mieszkalny. Ze stodoły nie uratowano nic, jak i ze szopy, która stała poza stodołą, w której był wóz, burdak, sieczkarnia, pług i inne narzędzia gospodarskie; nie uratowano nic także ze strychu, gdyż jak stodoła tak i dom był kryty słomą. Asekuracya wynosi 2400 K. a szkoda przeszło dwa razy więcej. Na miejsce pożaru przybyły trzy sikawki, które wnet pożar ugasiły.

Dnia 3. b. m. o godzinie 7. wieczór zgorzało gospodarstwo Raszyka w Rychwałdzie na Śląsku austryackim.

Dnia 3. b. m. o godzinie $9^1/_2$ w nocy spalił się dom wraz ze stodołą i innemi przybudowaniami wraz z trzema wieprzami, wogóle spaliło się wszystko z wyjątkiem ludzi, którzy ledwo żywi uciekli. Dom ten drewniany należał do niejakiego Świdra w Rychwałdzie. Z braku wody nic nie uratowano.

Dnia 4. b. m. o godz. $12^1/_2$ w nocy spalił się dom Janeczki w Rychwałdzie na Śląsku austr.

Dnia 4. b. m. o godz. $3^1/_4$ w nocy był pożar w Pietwałdzie na Śląsku austr. a więc cztery w okolicy

i to w jednej nocy. No i jakże tu żyć bez obawy o dach nad głową?

Dnia 26. sierpnia z niewiadomej przyczyny zajęły się meble w pokoju na 1. piętrze w domu Hahna w Boguminie dworcu na Śląsku austr. Mieszkaniec tego pokoju był już przed tygodniem wyjechał, więc dziwne w jaki sposób mógł powstać ten pożar, skoro pokój był zamknięty na klucz.

Dnia 27. sierpnia o godz 9. wieczór zgorzał drewniany dom wdowy Tamisowej w Rychwałdzie na Śląsku austr. Dom ten od dwóch tygodni nie był zamieszkały, a przed tygodniem ktoś w nim powybijał szyby. Dom był ubezpieczony bardzo nisko. Przyczyna pożaru nie znana.

W nocy z 30. na 31. sierpnia spalila się z niewiadomej przyczyny stodoła należąca do wdowy Kłóskowej w Skrzeczoniu na Śląsku austr. Ogień prawdopodobnie podłożono.

Wydalenie rabina „cudotwórcy“. W Uzsok (Węgry północne) zamieszkał rabin »cudotwórca« z Komarna, z Galicyi, z całym swoim dworem, na świeżem powietrzu. Ponieważ »cudotwórcę« odwiedzały liczne rzesze współwyznawców z Węgier i Galicyi, którzy za złożeniem odpowiedniej ofiary szukali u niego rady i pocieszenia, przeto rząd węgierski, nie tolerujący praktyk »cudotwórców« i zabobonów żydowskich, zakazał rabinowi z Komarna pobytu w Użsok i polecił mu do 3 dni opuścić granice Węgier.

Państwo młodzi w areszcie. W Lesznie, w Poznańskiem, wydarzył się zabawny wypadek. Goście weselni byli już odjechali do kościoła, tylko młoda para pozostała jeszcze w domu, oczekując swego powozu. Posługaczka czy służąca tymczasem, sądząc że i młoda para już odjechała, zamknęła drzwi mieszkania i udała się także do kościoła. Przekonawszy się w kościele, że są już wszyscy goście weselni a brakuje jedynie państwa młodych, przerażona swoją nieuwagą, pobiegła natychmiast do domu i uwolniła młodą parę z niezwykłego aresztu.

Zrozpaczona matka. Wstrząsający wypadek zdarzył się niedawno w mieście niemieckiem Kolonii w tamtejszej przystani rzeki Renu. Policyant miejski, przechadzający się wybrzeżem rzeki, usłyszał naraz za sobą jakiś głos dziecięcy, rozpaczliwie błagający: »Mamo, ja nie chcę umierać!« Obejrzawszy się szybko, spostrzegł tuż nad głębiami rzeki jakąś kobietę, która gwałtem usiłowała zepchnąć do wody swego kilkoletniego synka, podczas gdy dzieciak, objąwszy ją za nogi, błagał rozpaczliwie, by darowała mu życie.



Okazało się, że nieszczęśliwa z powodu jakiegoś strasznego nieszczęścia rodzinnego, czy też z nędzy, usiłowała utopić się razem z dzieckiem. Wdanie się policyanta a następnie publiczności przeszkodziło temu rozpaczliwemu zamiarowi. Nasza rycina przedstawia tę niezwykle bolesną chwilę.

Prześladowania pruskie. Żona pewnego redaktora Polaka na Śląsku pruskim przybyła niedawno temu na wiec ludowy z kolczykami w uszach, na których były maleńkie orzełki polskie. Były one tak drobne, że widzom oczywiście w oczy wpaść nie mogły, a tem mniej podburzyć przeciw całości i bezpieczeństwu państwa pruskiego. W parę dni atoli otrzymała pozew na policyę, gdzie się dowiedziała, że wskutek donosu kryminalnego komisarza jest oskarżona o podburzanie ludności polskiej z powodu noszenia owych kolczyków na wiecu! Na rozprawie oświadczono jej, że pieniądze są niemieckie, a za niemieckie pieniądze ma się nosić niemieckie ozdoby, że »nie wolno« nosić polskich ozdób!

Rozpaczliwy czyn ojca. W jednem mieście pruskiem liczni przechodnie byli świadkami strasznego czynu, którego dopuścił sie pewien ubogi człowiek. Nad rzeką Sprewą przechadzał się jakiś starszy mężczyzna z jedenastoletnim synkiem tam i z powrotem, i nagle rzucił się z chłopcem do wody. Pospieszono natychmiast z pomocą i ratującym udało się wyciągnąć z wody chłopca, który wprawdzie był bardzo wyczerpany, ale przy życiu. Ojca nie zdołano uratować. Zwłoki jego wydobyto dopiero daleko za miastem. W liście zostawionym do żony, topielec, właściciel sklepiku z jarzynami, oświadcza, że nie może podołać troskom o grosz i topi się wraz z synkiem, umysłowo chorym, nie mogąc go narażać na nędzę i pośmiewisko ludzkie. Uratowanego chłopczyka umieszczono w szpitalu.

Nieostrożność grabarza. We wsi Błaszczynie w Królestwie Polskiem zdarzył się niedawno niezwykle przykry wypadek. A to podczas pogrzebu, gdy ksiądz stojący nad otwartą mogiłą, skończył modlitwy i miał już odejść, zapadła mu się ziemia pod nogami i ksiądz runął do grobu na trumnę. Wypadek spowodowała nieostrożność grabarza, który biorąc grób, podkopał się blisko sąsiedniej mogiły.

Kto kogo oszukał? Pewien tygodnik w Królestwie Polskiem podaje następujące zabawne zdarzenie: Wieśniaczka ma stały zbyt u piekarza. Przynosi mu codziennie mleko i masło. Część należności wybiera bułkami i chlebem, resztę gotówką. Oboje są z siebie wzajemnie zadowoleni.

Ale pewnego dnia piekarz robi swej dostawczyni wielką awanturę.

— Co to jest? — krzyczy. — Zważyłem wczoraj waszą osełkę masła i przekonałem się, że na funcie brakło czterech łutów. To oszukaństwo! Wynoście się! Nie chcę was znać więcej!

Kobieta z całym spokojem zaczyna się tłómaczyć:

— Niech się pan nie gniewa. Ja nic nie winna. Gdzieś mi się ciężarek do wagi zapodział, więc mój chłop powiada: weź bochenek chleba, coś go przyniosła od piekarza, musi on mieć rzetelną wagę, bo nasz poczciwy piekarz nikogoby przecież nie oszukał i wedle niego zrób osełkę. Tak też zrobiłam i od dwóch już tygodni robię osełkę według pańskich bochenków.

Piekarz na to zapomniał języka w gębie. Wydało się, że sam na wadze chleba stale oszukuje, rzecz prosta więc, że nie mógł się już dalej sierdzić na kobietę. Gdy nazajutrz przyniosła znów mleko i masło, przywitał ją grzecznie, o wadze nie wspominał, a nawet ją po przyjacielsku uczęstował.

W rosyjskiem więzieniu. Pisaliśmy niedawno o opłakanej doli, jaką w więzieniach rosyjskich znosić muszą tak zwani »polityczni« przestępcy. Obecnie donoszą gazety rosyjskie o następującym wypadku: W mieście Krasnojarsku nadzorca tamtejszego więzienia wsadził do nieopalanej kaźni skazańca politycznego Suchaczowa i zapomniał o nim. Kiedy

sobie o nim przypomniał, okazało się, że Suchaczow odmroził stopy u obu nóg. Po odcięciu stóp odmrożonych Suchaczow zmarł.

Handel niewolnikami. Prawa i ustawy swoją drogą, a ludzka chciwość i niegodziwość swoją. — Wielu praktyk niegodziwych od dawnych lat prawo już zabroniło, lecz źli ludzie obchodzą je i naruszają ku oburzeniu uczciwych obywateli. Któżby np. przypuszczał, że istnieje jeszcze na świecie handel niewolnikami! A jednak kwitnie on w najlepsze w afrykańskich posiadłościach Portugalii. W miejscowości Massamedes istnieje Towarzystwo, trudniące się tylko tym handlem i sprzedające niewolników setkami. Wprost prowadzi ono sklep z murzynami, jak z towarem, i wynajmuje niewolników po cenie 40 do 80 marek miesięcznie. Handel ten jest niezmiernie popłatny, gdyż murzyni nie dostają nic poza nędznem mieszkaniem i jeszcze nędzniejszą żywnością. Ze względu zatem na nadzwyczajną popłatność tego handlu, mnoży się liczba handlarzy. Niejeden z tych nieludzkich przedsiębiorców rozporządza takiem bogactwem »towaru«, że może każdej chwili dostarczyć od 400 do 1000 niewolników. Portugalia powinna położyć kres temu handlowi ludźmi, bo to przynosi jej hańbę wobec całego świata.

Plaga szarańczy w Sardynii. Tegoroczne niebywałe upały sprowadziły na południe Europy, a zwłaszcza na wyspy morza Śródziemnego, między innemi klęskami, także groźną plagę szarańczy. — Plaga ta, dająca się we znaki na Wschodzie, zdawna już omijała Europę. Straszne upały tegorocznego lata widocznie jednak sprzyjały niesłychanemu rozmnożeniu się tego owadu.



Na wyspie Sardynii, pojawiły się tam olbrzymie chmury szarańczy i straszliwą plagą spadły na pola. Groźnem rojowiskiem pokryły całą wyspę. Mieszkańcy rozpaczliwymi wysiłkami bronią się przed niebywałą plagą: uzbrojeni w miotły i gałęzie, zmiatają masy owadu do prześcieradeł i dużych worów, czyniąc go w ten sposób nieszkodliwym dla pól i plonów. Obrazek nasz przedstawia tę usilną pracę ludności Sardynii dla uchronienia się od plagi straszliwego owadu, który gdy opadnie na okolicę, niszczy pola i drzewa doszczętnie.

Prawdomówny pastor. W Filadelfii, w Ameryce, pewien pastor, nie licząc się wcale z wpływami i znaczeniem tamtejszych milionerów, bez ceremonii gromi z ambony ich żony i córki, które, żyjąc w zbytku i marnotrawstwie, wyrzucają pieniądze bezmyślnie, bezpożytecznie dla społeczeństwa i dla siebie. Uważają dom jako miejsce, w którem się je, śpi, ubiera i przebiera. A ubierają się bezwstydnie, myśląc tylko o podobaniu się mężczyznom. To musi doprowadzić do zepsucia obyczajów. Kaznodzieja wymienił z nazwiska oraz imienia szereg żon najbogatszych ludzi w kraju. Uboższe warstwy ludności bardzo są rade z tego, bo szaleństwa w rozrzucaniu pieniędzy przez milionerki amerykańskie przekraczają istotnie wszelkie granice.

Ucieczka przed śmiercią w płomieniach. Pisaliśmy już w »Roli« o straszliwych pożarach stepów i lasów w Ameryce. Dzisiejsza rycina przedstawia tłumną ucieczkę tysięcy mieszkańców Kanady przed szalejącą falą płomieni na morze. Wokół na wybrzeżu morza płoną lasy, straszliwa pożoga dociera do samego wybrzeża, ogarniając płomienistemi objęciami setki ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci, stłoczonych w bezładną masę na wybrzeżu. Wszystkich przejęła jedna groza przerażenia, rozpaczliwie wyciągają ręce za łodziami, aby uciec przed piekielnym żarem na morze...



Ale łodzi za mało! Nieszczęsnym gromadom ludzkim nie pozostaje nic innego, jak paść ofiarą strasznego żywiołu, lub rzucić się w odmęty morza i utonąć bez ratunku. Wywiązuje się nieludzka walka o zbawcze łodzie. Tylko bardzo nielicznym udaje się dopaść łodzi i wymknąć się z tego piekła żaru i jęków rozpaczy. Reszta ginie w falach ognia, co się rozszalał na przestrzeni setek kilometrów, lub nie zdobywszy łodzi, rzuca się w szalonej trwodze w fale morza.

Przestroga dla wychodźców. Nietylko w Stanach Zjednoczonych nadeszły ciężkie czasy, dające się przedewszystkiem odczuwać emigrantom, ale i w Ameryce południowej dzieje się obecnie nielepiej. — Świeżo krakowski »Przegląd emigracyjny« ostrzega przed wychodźtwem do południowej Argentyny, gdzie brak wody do picia dotkliwie daje się we znaki, a nieurodzaje grożą klęską głodową. — W porcie San Antonio, gdzie rząd założył już przed laty stacyę doświadczalną dla uprawy ziemi, w celu zakładania kolonii, zaniechano dalszego wiercenia źródła wody, dotarto już do 500 metrów w głąb ziemi, lecz bezskutecznie. Trzeba więc sprowadzać wodę z daleka, a o uprawie ziemi nie może być mowy. Z tego względu należy uważać i kolonizacyę trzech kelonii niemiecko-argentyńskich w Santa Cruz za straconą, gdyż grunta nie posiadają wody słodkiej. Wskutek posuchy w południowych prowincyach Argentyny, zwłaszcza w okolicach Pampy, zanosiło się nawet na bunt głodowy kolonistów, który atoli stłumiły wojska rządowe, rząd pospieszył z pomocą przez nadesłanie środków żywności. Mimo to koloniści tłumnie opuszczają swoje siedziby. Statki zmierzające z Buenos Ayres do Nowego Jorku i Kanady, są stale przepełnione. W Buenos Ayres nastąpiło przesilenie handlowe, jakiego już od dwudziestu lat nie pamiętają. Należy przeto zwrócić uwagę wychodźców na to, że w obecnym czasie w Argentynie nie mogą oczekiwać dobrego zarobku.

Straszna burza w Ameryce Północnej. W Charlestown szalała przez 36 godzin straszna burza, czyniąc dokoła wielkie spustoszenia. Wiele ludzi poniosło śmierć. Straty, wyrządzone przez rozszalały żywioł, przekraczają sumę miliona dolarów. Okoliczne wyspy zalane. Ludność tylko z trudem zdołała się ocalić, uciekając w popłochu. Dziesięć okrętów rozpasana wichura rzuciła na brzeg, uszkadzając je bardzo. Kościół św. Michała w Charlestown wiele fabryk i domów zburzonych. Od roku 1885 nie pamiętają w okolicy takiej gwałtownej burzy.

Człowiek o stu ranach. W Nowym Jorku zmarł niedawno niejaki Wiliam Laidlaw, znany pod nazwą »człowieka o stu ranach«. Był on niegdyś buchalterem u niezmiernie skąpego milionera Russela Sage. Raz do biura bogacza przyszedł bandyta i żądał pieniędzy, grożąc mu śmiercią. Nadszedł na to Laidlaw, którego w okamgnieniu pochwycił za ramiona milioner i zasłonił się nim jak tarczą przed zbójem. Ten przypuszczał prawdopodobnie, że znalazł się w pułapce, za chwilę bowiem rozległ się straszny huk bomby. Pod gruzami domu znaleziono podziurawione literalnie jak sito ranami ciało Laidlawa, a obok trupa bandyty z oderwaną od tułowia głową. Milioner, jakby cudem, wyszedł nietknięty. Minęło sporo czasu zanim się Laidlaw wyleczył z ran. Gdy jednak w końcu wyzdrowiał, zwrócił się do Sagea z prośbą o wsparcie. Milioner głuchy był jednak na wszelkie prośby i zaklęcia. Po śmierci nieludzkiego milionera wdowa jego nic również słyszeć nie chciała o dobroczyńcy męża swego. Nareszcie śmierć uwolniła Laidlawa od dalszych cierpień. Pozostawił żonę i syna w nędzy, przyszli im jednak z pomocą znajomi choć nie bogaci, zawstydzając milionową wdowę, równie nieczułą na niedolę i wstrętnie skąpą, jak i jej mąż.

Jak zapobiegać zatruciu grzybami? Wobec niezwykle licznych w tym roku wypadków otrucia się grzybami, przytaczamy niektóre wskazówki, mające wykazać w jaki sposób ustrzedz się można od tego straszliwego zatrucia. Nie zbierać, a przedewszystkiem nie jeść grzybów, których się nie zna dokładnie. Znane dobrze grzyby spożywać w stanie zupełnej ich świeżości. Nieraz grzyb jest nietrujący, a mimo to wywołuje zatrucie, jeżeli go się ugotuje, gdy był nadpsuty. Jak najstaranniej trzeba więc przed spożyciem przebrać grzyby i odrzucić każde źdźbło, które nie wydaje się zupełnie świeże, a także oczywiście wszystkie części, toczone przez robaki. Gozować umiejętnie zdrowe grzyby! Obrawszy jak najstaranniej, wypłukać dokładnie kilka razy w zimnej wodzie, sparzyć następnie gotującym warem, odlać i zastawić w świeżej wodzie na oguiu. Gdy zaczną mięknąć na dobre, odlać i tę wodę, włożyć w rondel masła, które się zasmaża z cebulką i w niem dusić grzyby aż do zupełnej miękkości. Niedogotowane grzyby są niezmiernie szkodliwe. Jak postąpić w razie zatrucia się grzybami? Zaraz przy pierwszych objawach posłać natychmiast po lekarza, a zanim lekarz przybędzie, podać choremu tęgiej kawy lub herbaty, a potem ściśle wypełniać wszystko, co lekarz przepisze. Z grzybów naszych lasów najwięcej używane do gotowania są: rydze, maślaki, kozaczki, kurki, pieczarki, smardze, panny.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Fr. Marzec).

Pierwsze choć z lodu nie lodem nazwane —
Pierwsze i trzecie ptaki u nas znane.
Drugie spostrzeżesz u sukni — surduta,
Lecz najwyraźniej — zda się — u b ta.
Całe mąż wielki — Polak — chluba nasza,
Którego sławę cały świat ogłasza.

2. SZARADA.

(Ułożył Józef Kobylański).

Pierwsze drugie jest to napój smaczny, zdrowy,
Drugie trzecie jest to znany sprzęt domowy,
Który mieć muszą gospodynie nasze.
Całość częścią całości być musi zawsze.

3. ARYTMOGRYF.

(Ułożył Franciszek Zdeb).

			1	**2**	3	4			
			2	**3**	4	5			
			6	**13**	1	7			
8	5	9	10	**8**	5	7	11	9	5
8	**6**	**12**	**13**	**3**	**11**	**14**	**15**	**8**	**6**
8	6	9	16	**1**	4	3	11	14	15
17	9	15	1	**18**	6	14	7	5	16
			18	**3**	16	6			
			6	**13**	10	4			
			3	**15**	19	5			

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męzkie, 2. Rodzaj miary, 3. Ciecz, 4. Rodzaj ryciny. 5. Imię męzkie, 6. Drzewa rosnące, 7. Napój, 8. Okucie, 9. Część domu.

Rząd drugi pionowy da nazwisko poety polskiego, zaś rząd drugi poziomy nazwisko wojownika polskiego.

4. SZARADA.

(Ułożył Maciek Bzdura).

Na pierwsze trzecie
Strzelec i dziecię,
Wtedy rozmawia,
Gdy się zabawia;
Zaś drugie trzecie
Masz ty i dziecię.
Całość sprzedają
No i jadają.

5. Łamigłowka przysłowiowa.

(Ułożył Jędrzej Czarnik z Rz.).

Kto, cu, u, je, gło, nie, z, za, na, rość, du, pra, nie, mło, sta, du, ra.

Z powyższych zgłosek ułożyć piękne polskie przysłowie.

6. KWADRAT magiczny.

(Ułożył Wład. Burghardt).

a	a	a	a	Zbiór wody.
k	k	o	r	Drogi lądowe.
r	s	t	t	Napój.
y	y	w	w	Roślina.

6. SZARADA.

(Nadesłał Walenty Pasierb).

Pierwsze to przyimek, który wymawiamy,
Gdy rzecz albo przedmiot blisko siebie mamy.
Pierwsze z drugim wtenczas ma swój wyraz [gładki,
Gdy matka do siebie przygarnia swe dziatki.
Drugie z trzeciem drzewo, które wam jest [znane,
Na wyrób przedmiotów różnych używane.
Trzecie z czwartem miano zwierzchników tej [ziemi,
Zarazem to miano jest między wszystkimi.
Drugiego-czwartego ludzie używają,
A zwłaszcza majtkowie kiedy tonąć mają.
Trzecie wraz z drugiem ogień zawsze czyni,
Niekiedy wsie całe w kupę gruzów zmieni.
Całość: to kwiaty skrzętnie hodowane
Za to, że piękne, są pielęgnowane.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 23 września 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 36 *Roli*: 1. Szarada: **Kaleka,** 2. Szarada: **Paderewski,** 4. Zadanie zmienne: **Jan Matejko,** 4. Gwiazda: **Sos, sok, kos,** 5. Szarada: **Kuropatwa,** 6. Szarada: **Cholewa,** 7. Zagadka: **Kat-tak,** 8. Łamigłówka: **Stanisław Wyspiański.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

W piątek popołudniu, kiedym dostał »Rolę«,
Siadam do czytania, ja zagadki wolę.
Że kaleka pierwsza, odgadłem to snadnie,
Paderewski, muzyk, gra swe sztuki ładnie.
Bitwę Racławicką Matejko przedstawił,
I wiele nam pięknych obrazów zostawił.
Ropa w naszym kraju wytryska obficie,
Kuropatwa w krzewach przepędza swe życie.
Każdy człowiek chowa różne swoje rzeczy,
Pieniądze też dobrze sobie zabezpieczy.
Cholewa, rzecz zwykła u butów wieśniaka,
Lech bywa także nazwiskiem Polaka
Tak obrzydliwem każdemu jest ścięcie,
Kat wykonuje to w jednym momencie.

Franciszek Zdeb.

2.

By dostać nagrodę — a do tego dążę —
Więc nad tem posiedzę, szarady rozwiążę.

W pierwszej będzie kaleka, nieszczęsna istota,
Która litość wzbudza (a no nie dziwota),
Paderewski, mistrz tonów, dobrze u nas znany
Podczas Grunwaldu często bywa wspominany,
Bo na to zasłużył ofiarnością swoją;
Wyspiański znów zdobi łamigłówkę moją.
W gwiazdce znów »o« będzie literą środkową.
Kat jest nielitościwy, gdy stoi nad głową.
Lecz co to za ptaszek, co nie wysoko lata?
Myślę, że kuropatwa. Może dość do kata!
Lecz jeszcze jest szarada, co cholewę mieści.
Taraz czekam nagrody! — I koniec powieści.

Józef Ralski.

Oprócz tego w oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:
Józef Płatkowski w M., Józef Woś z W., Bronisław Wójciak z N., M. Barszcz z B., Franciszek Seper z M. K., Anna Żebrok z B., K. Szeliga z B., Z. Zarucki z D., M. Dudek z Ż., A. Bezokówna z K. M., H. Łukawski z J., Henryk Mac z B., A. Zieliński z M., Jan Bylica z P., Franciszek Kelner z P. L., Jan Bożek z J., F. Puk z Ł., Juroszek Paweł z I., Jan Kloch z W., Jan Moś z Cz., Jan Pigoń z K.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Bagnisko*** wylosował p. **Jan Kloch** z W., zaś drugą p. t. ***Przędziwo*** p. **Henryk Mac** z B.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

P.P.: J. T. w Jasienicy: Prosimy bardzo pisać piórem, wyraźnie i poprawnie. Z nadesłanych wiadomości nie mogliśmy skorzystać. — Wład. Burghardt w S.: Zagadki dobre, tylko na przyszłość prosimy o pisanie tylko po jednej stronie papieru. — Jan Kłósko w K.: Pieniądze otrzymaliśmy; ma Pan zapłacone do 1 lipca 1912 r. Niech Pan przyśle jeszcze 2 K., to będzie zapłacony cały 1912 r. i Kalendarz po wyjściu z druku otrzyma Pan, jak również przysługiwało będzie prawo do »Podarku szczęścia«. Numera od półrocza wysyłamy, gdyż tylko od kwartału można zacząć prenumeratę. — Józef Rokitowski w K.: Wysyłamy regularnie — wina tu poczty. — Grzegorz Piotrowski w B.: Z nadesłanego wierszyka widać, że mógłby Pan pisać wiersze i to niezłe, trzeba atoli kogoś o formę popytać, gdyż ta kuleje. Niech Pan napisze więcej i przyśle, może coś da się do druku wybrać. — Tomasz Gromek w Sz.: Takie powiększenie kosztowałoby bardzo dużo, choć i o tem myślimy. Henryka Zwilling w T.: Jeden z nadesłanych wierszyków będzie w Kalendarzu. — Józef Ralski w O.: Owszem, rzeczy takich potrzebujemy jak najwięcej. Nadesłana humoreska dobra. — W. Nowacki w Ch.: Monolog wesoły, ale zachęca do picia wódki, więc wydrukować go w »Roli« nie możemy, chyba w przeróbce. — Michał Wojnarowicz w S.: Wierszyk dobry; czy tylko własnego układu? — Władysław Wołowiec w S.: Zagadki dobre, więc chętnie je umieścimy. — Jan Maśka w Z.: Zagadki dobre. — Jan Bylica w P.: Pisma takiego nie znamy.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Potwierdzenia prenumeraty:

Ludwika Prychitkowa z B. (2 K.), Laska Stanisław z B. (2 K.), Stanisław Garzeł z B. (2 K.), Kossowski Marcin z Z. (4 K.), Skowyra Stanisław z K. (1·20), Kłosko Jan z K. (4·50), Michał Wąchal z R. (1·20 K.), Kubala Jan z S. (4·50 K.), Wrona Józef z K. (2 K.), Jan Biernat ze L. (1 K.), Józef Frączek z P. (2 K.), Józef Kud z R. (1·80), Johan Popielek z S. (4·30 K.), Michał Gąska z Ch. (2 K.), Franciszek Gutowski z G. (1 K.), Mizia Paul z C. (1·40 K.), Grądalski Jędrzej z K. (2 K.), Kazimierz Siwek z R. (2 K.), Marya Żeglicka z G. (2 K.), Chrzanowicz z M. (1 K.), Michał Grad z O. (2 K.), Paweł Marek z K. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 12 września:

Buhaje	Kor.	120	do	350	za sztukę
Woły	„	200	„	350	„
Krowy	„	120	„	250	„
Jałówki	„	90	„	156	„
Cielęta	„	20	„	70	„
Owce i kozy	„	20	„	30	„
Świnie (bita waga)	„	138	„	148	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 12 wrześ.:

Pszenica	Kor.	12·10	do	12·60	za 50 kg.
Żyto	„	10.—	„	10·50	„
Jęczmień	„	9·—	„	9·50	„
Owies	„	8·50	„	8·80	„
Otręby pszenne	„	7·40	„	7·65	„
Otręby żytnie	„	7·25	„	7·50	„

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego